CENA 30 GR.

NARÓD i PAŃSTWO

TYGODNIK

ROK I. WARSZAWA, 28 CZERWCA 1936 R. NR. 21

Józef Korpała

Podstawy przebudowy społecznej

Postulat przebudowy społecznej odczuwany jest tak powszechnie przez wszystkie grupy społeczne, nie wyłączając nawet młodych konserwatystów, że stał się on w ostatnich latach podstawowym aksjomatem wszystkich prądów i doktryn społeczno-politycznych. Wszyscy mówią i piszą o konieczności przebudowy, uświadamiając sobie zwolna ten fakt, że konstytucja, zakreślająca ramy ustroju politycznego, sama przez się nie rozwiązuje palącego i niezwykle skomplikowanego u nas problematu przebudowy społecznej.

Przedewszystkiem jednak młodzież dorastająca do życia społecznego uważa za główny cel swej pracy przygotowanie przebudowy społeczno - gospodarczej, formułując w swych tezach ideowych główne jej zasady. Jest to objaw zupełnie zrozumiały, wynikając nietylko z psychicznej postawy każdej ambitnej młodzieży, przeciwstawiającej się starszemu pokoleniu i jego ideałom, ale także z ciężkiej sytuacji samej młodzieży, która nie znajduje warsztatów pracy i warunków sprzyjających udziałowi w życiu i budowaniu państwowości. Na miejscu ustroju dzisiejszego, opartego na wyzysku, nierówności społecznej i niesprawiedliwym podziale dóbr i dochodów — młodzież pragnie zbudować nowy ustrój, likwidujący pasożytnictwo, ustrój w którym wszystkie wartości wypływać mają z pracy, stanowiącej zasadnicze kryterjum wartościowania.

Abstrahując na tem miejscu od wartości i słuszności tych czy innych projektów i koncepcyj przebudowy podkreślić musimy, że dwa zasadnicze czynniki przenikają to powszechne dążenie do przebudowy. Jeden — to świadomość bankructwa dotychczasowego ustroju społeczno-gospodarczego, uwydatnionego w całej pełni przez kryzys gospodarczy, drugi zaś — to powszechne dążenie do urzeczywistnienia postulatu sprawiedliwości społecznej, bez której nie można marzyć nietylko o wolności i równości, ale także i wydobyciu ze wszystkich obywateli maksimum sił twórczych dla spotęgowania mocy i wartości Polski.

Młodzież najsilniej odczuwa niesprawiedliwości dzisiejszego ustroju i dlatego postulat przebudowy społecznej, znajdujący głębokie uzasadnienie emocjonalne, jest dla niej żywy i niezwykle aktualny. Z możliwościami urzeczywistnienia tego postulatu wiąże ona swoje nadzieje i ambicje odegrania twórczej roli w życiu zbiorowem. Niestety nie uświadamia sobie ona dość wyraźnie tej podstawowej prawdy, że problemat przebudowy jest nietylko problematem natury społeczno - gospodarczej i technicznej, ale także natury moralnej i kulturalnej. Podkreślał to dobitnie E. Abramowski, gdy w odczycie o t. zw. przyjaźni mówił w r. 1917, że „nowe życie społeczne, nowa instytucja, więc też nowe państwo wymaga **przedewszystkiem nowych ludzi**, ludzi odpowiednich, których nietylko pojęcia i przekonania, ale co najważniejsze, których **codzienne zwyczaje i potrzeby, sumienie moralne i sposób życia** odpowiada i zgadza się, zupełnie z tym nowym światem społecznym, jaki ma się tworzyć".

To też każdy, ktokolwiek mówi o przebudowie społecznej musi wziąć pod uwagę, że „normalny człowiek dzisiejszy jest świadomie lub podświadomie **zachowawcą** w stosunku do tego porządku cywilizacyjnego, w którym sam czynnie uczestniczy, choć zachowawczość jego może być czysto obronna, stawiająca opór wszelkim zmianom, lub zaczepna, dążąca do zburzenia innych porządków, aby własny jego porządek zapanował. Jeśli chce reformy lub rewolucji, to jedynie na to, aby na miejsce dzisiejszej wielości stałych, porządków zaprowadzić jeden porządek, równie stały lub jeszcze stalszy, w którym dla ludzi jego typu znajdą się trwałe miejsca, bardziej zadowalające od obecnych, lecz już mu znane, już przez niego cenione, zgóry określone według teraźniejszych sprawdzianów" (F. Znaniecki: Ludzie teraźniejsi a cywilizacja przyszłości).

Oczywistem jest chyba, że ludzie teraźniejsi, z ich współczesną podwójną moralnością, nie mogą urzeczywistnić w całej pełni idei przebudowy społecznej, że do dzieła przebudowy należy się zaprawiać przez pracę ułatwiającą wykrystalizowanie nowej hierarchji wartości (nowa kultura) i nowej moralności. Ten kto liczy na ruchy mas, na zwolenników — opóźnia dzieło przebudowy, bo „u nas codzienne działania szarej masy ludzkiej nikłą dawały wypadkową, która nie mogła stwarzać złudzeń automatycznie dokonywującego się rozwoju; zato jednostki i zespoły heroicznie w 100% oddawały siebie „na ofiarny stos" i zmuszone były — a długo jeszcze zmuszone będą — wielokroć w życiu porzucać swój „dom" (materjalny, doktrynalny, uczuciowy) i na wczorajszym kształcie swym — jak Popiel Słowackiego — postawiwszy nogę, w następnym, wyższym etapie swej drogi budować na nowo". (Adam Skwarczyński: Wskazania).

Kto chce naprawdę zmierzać do przebudowy, a nie tylko głosić hasło przebudowy,

ten musi przygotowywać się do przebudowy tak samo realnie i konkretnie jak to robili uczestnicy ruchu niepodległościowego przed wojną. Musi zacząć siebie samego przetwarzać, kształcić, przerabiać, na inną, nową miarę, na miarę wielkich zadań, wedle wymagań nowych, przyszłych czasów. Ci, którzy chcieli niepodległość wygadać, wydyskutować na zebraniach, wywalczyć na konferencjach, okazali w całej pełni swój niedorozwój moralny, podczas gdy w atmosferze pracy strzeleckiej przeciętny nawet człowiek wyrastał ponad siebie, bo ujarzmiał się w każdym człowieku tkwiący pierwiastek genjalności. Tego faktu i doświadczenia dziejowego nie mogą pominąć przedewszystkiem młodzi, którzy łatwiej od dorosłych mogą zmienić sposób życia, zmienić zamiłowania i obyczaje, by stworzyć rzetelne forpoczty przebudowy. Wymaga to, rzecz prosta, dużej odwagi, siły woli a nawet bohaterstwa, przerastającego znacznie śmiałość rewolucyjnych frazesów, a nawet demonstracyjnych wystąpień.

*

Problemat przebudowy społecznej w Polsce obciążony jest całym szeregiem serwitutów, dysproporcyj w organizacji naszego życia państwowego i przeżytków pokutujących wśród mas, domagających się przebudowy. Pomijając nawet różnice w koncepcjach przebudowy — podkreślić musimy, że samo pojęcie przebudowy zaciemnione jest mnóstwem błędnych pojęć, rozpowszechnianych przez demagogów i dyletantów w płytkich broszurach, obliczonych na bezkrytycznego czytelnika. Publicysta, roztrząsający problemat przebudowy na tle naszego życia zbiorowego, mógłby zrobić zarzut przedewszystkiem historykom i badaczom pracy dziejowej Narodu, że unikają spojrzenia na dokonywującą się nieśmiało i bezplanowo przebudowę społeczną, że są jakby nieobecni, nie niosą pomocy wielkim ruchom i prądom, poszukującym wyrazu dla ideologji jutra. Zarzut tem słuszniejszy, że u nas wyraźnie występuje konieczność wprowadzenia perspektywy dziejowej do wszelkich prób rozwiązywania problematu przebudowy i planowania lepszego jutra.

Jeżeli z tej perspektywy dziejowej spróbujemy spojrzeć na zagadnienie przebudowy, to uderzą nas przedewszystkiem takie zjawiska: wyolbrzymienie legendy Konstytucji 3-go Maja i zatajonego przez szlachtę Uniwersału połanieckiego, względnie upatrywanie w losach każdej jednostki symbolu istniejącego w danej chwili stanu rzeczy (Bartosz Głowacki), a niedocenianie takich faktów, które swą powszechnością zaważyły na rozwoju życia zbiorowego i stosunku mas do idei Polski. Dość wspomnieć, że uwłaszczenie chłopów, które zaciążyło nietylko na strukturze gospodarczej dzisiejszej Polski, ale także na ideologji społecznej, odbyło się na terenach ziem polskich w różnych okresach i to — w świadomości mas — za sprawą zaborców, gdyż nawet okres Królestwa Kongresowego, przygotowany reformami Napoleona, zmarnowano dla sprawy związania chłopa z ideą Polski. O tem, że manifest rządu narodowego 22 stycznia 1863 roku głosił uwłaszczenie i zapowiadał rozdział gruntów, nietylko chłopi, ale nawet historycy nie wspominają, bo chłop otrzymał ziemie nie z ręki rządu narodowego, ale carskiego.

Gdyby nawet pominąć uraz pańszczyźniany jako przeżytek, który nie powinien zaciemniać problematu przebudowy, pomimo, że dotychczas utrudnia on duchowe zjednoczenie wszystkich obywateli polskich — to pozostaje rażąca niewspółmierność pomiędzy tym obrazem Polski, jaki malowali przed oczyma mas patrjoci, mobilizujący masy do walki o Polskę, a dzisiejszą rzeczywistością. Trzeba pamiętać, że „długi okres tęsknoty za własnem państwem wyidealizował nadmiernie jego istotę. Koncepcje myślowe odbiegały daleko od rzeczywistości, a wyłączne pragnienie niezależności politycznej zdeprecjonowało wartości gospodarcze... dzięki temu z państwa uczyniono panaceum na wszystkie niedomagania". Mówiąc o przyszłej Polsce, nie zdawano sobie sprawy z tego, że nie rozwiąże ona wszystkich trudności, nie zaspokoi wszystkich tęsknot, nie naprawi wszystkich krzywd i niesprawiedliwości, bo na to trzeba nietylko czasu i środków, ale także odpowiednich sił społecznych, budujących Polskę od dołu, wytwarzających nową tradycję i nową kulturę pracy zbiorowej, której zaczątki ujawniły się w pierwszych latach niepodległości, by później zatonąć w szarzyźnie i niepamięci.

Kto się zastanawia nad sprawą przebudowy nie może nie pamiętać faktu, że rok 1920 łączy się w świadomości chłopa z uchwałą o reformie rolnej, która miała naprawić krzywdy dawne i związać wieś trwałemi węzłami z życiem Nowej Polski. Sam fakt, że reforma rolna w ciągu 16 lat nie została w całości wykonana, posiada dla wsi specjalną wymowę, bo dla wsi sprawa parcelacji jest nietylko sprawą gospodarczą ale także sprawą moralną i dlatego wszelkie tłomaczenie, że zapas ziemi przeznaczony do parcelacji nie rozwiąże niedomagań ustroju rolnego Polski i nie usunie przeludnienia wsi — nie posiada poważniejszego znaczenia.

Gdybyśmy jednak, nie zagłębiając się zbytnio w analizę naszej przeszłości dziejowej, mieli odpowiedzieć na pytanie czy obecnie istnieją warunki do urzeczywistnienia gruntownej przebudowy społecznej — to musielibyśmy odpowiedzieć, że niezależnie od warunków, przebudowa narzuca się dzisiaj z całą wyrazistością, choćby ze względu na konieczność wzmożenia sił obronnych Polski. Hasło „obrony Polski" musimy związać z dążeniem do przebudowy społecznej i gospodarczej, bo wtedy nabierze ono wymowy zrozumiałej dla prostego człowieka, umęczonego walką o pracę i kawałek chleba. Zespolenie hasła obronności narodowej z dążeniem do przebudowy może przyczynić się również do wykrystalizowania właściwej koncepcji przebudowy, gdyż dotychczas dążenia nawet do radykalnej przebudowy splatają się w naszem społeczeństwie z czcią dla przeżytków i tradycji. Chodzi o to, aby odrzucić przeżytki, a z tradycji czerpać to, co może wzmocnić twórcze czynniki przebudowy. Do tych twórczych czynników zaliczyć trzeba przedewszystkiem sięganie do żołnierskiej tradycji chłopskiej, pokazywanie udziału wsi w budowie niepodległości i wzmacnianie tego wszystkiego co narasta wysiłkiem i inicjatywą zespołów społecznych, ożywionych myślą poprawy życia zbiorowego.

Ta powolna przebudowa już się dokonywuje pracą zespołów, zwłaszcza zespołów młodzieżowych. Chodzi o to by tej pracy dopomóc, by ją wzmocnić i utwierdzić w słuszności obranej drogi, zwłaszcza gdy utrwala się coraz szerzej przekonanie, że przebudowy należy dokonać na drodze rewolucyjnej. Poprzez działające już zespoły pracujące nad podniesieniem życia na wyższy poziom, a znajdujące zrozumienie u czynników kierujących życiem Państwa, winna przenikać świadomość, że rozległość istotnych przemian nawet w razie przewrotu — a mamy za sobą już niejeden przewrót — zależy przedewszystkiem od tego, ile urządzeń „jutrzejszych" zbudowano w dniu minionym, bo wszystkie przemiany społeczne dokonywują się na stosunkowo długich przestrzeniach czasu, nawet wówczas, gdy samo wyładowanie energji społecznej odbywa się na drodze rewolucji. A my na luksus przewrotów i rewolucyj w naszych warunkach pozwolić sobie nie możemy.

NA MARGINESIE

„On wie lepiej, on musi wiedzieć lepiej". Lopek Krukowski stosował t przedewszystkiem do różnego rodzaju „besserwisserów" z Nalewek. Jednak całe Nalewki, łącznie nawet z redakcją „Naszego Przeglądu" i dużą „Ziemiańską", nie mają części tych wiadomości, jakie w ostatnich miesiącach są udziałem wyjątkowo dobrze poinformowanych współpracowników „Czasu", „Dziennika Poznańskiego", słowem całej prasy obozu konserwatywnego w Polsce.

Możemy to stwierdzić z całą pewnością. Bylibyśmy przecież szczęśliwi, gdybyśmy chociaż część wiadomości o tem, co się dzieje w naszej redakcji, otrzymywali bezpośrednio. Niestety — wszystkiego zawsze możemy się dowiedzieć dopiero z któregoś z wyżej wymienionych pism, którym — niekiedy — sekunduje towarzysz odpowiedni — ilustrowany kurjerek krakowski.

Za stałe poświęcanie nam takiej uwagi i troskliwości jesteśmy szczerze wdzięczni. Chcielibyśmy ze swej strony wywdzięczyć się odpowiednio. Niestety, nie mamy ludzi, którzyby z takim węchem, z taką intuicją i fantazją, potrafili zdobywać wiadomości, „trzymać rękę na pulsie życia publicznego".

Stąd też nie próbujemy rywalizacji. Ustępujemy pierwszeństwa. Więcej, sądzimy, że na wzór dawnego przysłowia p. Zagłoby o magnackiej głowie z Witebska, mogą dzisiaj powstawać nowe niemniej dostosowane do warunków. Pozwolimy sobie nawet zaproponować pewne odpowiednie do sytuacji teksty. Np. „w zmyślaniu artysta — to konserwatysta", albo „kłamie jak najęty — pewnie z „Czasu" wzięty". Będzie to odpowiadało rodzajowi tych wiadomości, które prasa konserwatywna posiada o „Narodzie i Państwie" zawsze „z najlepiej poinformowanego źródła".

Na dzień Święta Morza

Melchjor Wańkowicz

To nie Somosierra morska

No właśnie — gdzie się zaczyna Niepodległość? Czy Filipiny, albo Kuba mają większą i pełniejszą Niepodległość, niż np. Irlandja, dlatego, że mają pozornie bardziej niezawisłe formy rządzenia? Czy Polska w epoce gwarantów była Niepodległa?

To nie są płonne rozważania. To jest troska najgłębsza naszego pokolenia, które ku wolności doszło i pyta siebie w dniu codziennym, jak i o ile rzetelna jest ta wolność.

Kiedy w 1920 r. granice lądowe nagle wrogo się zamknęły dla przywozu broni, a okrętów z amunicją nie chciał wyładować Gdańsk, gdzież była nasza Niepodległość?

A kiedyśmy po wojnie bolszewickiej chcieli wejść w rodzinę ludów i postanowiliśmy sprzedać pierwszych 100,000 ton cementu, a linje okrętowe, pod wpływem cementowni zagranicznych, nie chciały go zafrachtować, a my nie mieliśmy swoich okrętów — gdzież była nasza Niepodległość?

A kiedyśmy wykorzystali konjunkturę węglową i weszlimy w 1926 r. na rynek światowy, a okręty obce prawem silniejszego dobiły po półtora szylinga na tonnie, tak, że w 1926 r. niepotrzebnie nadpłaciliśmy 7.740.000 zł. — gdzież była nasza Niepodległość?

A kiedyśmy przepłacali Bremie za transport bawełny, Gdańskowi za maszyny, Holendrom i Anglikom za śledzie, kiedyśmy kęsa w usta nie mogli włożyć, by nie zlatywały się chciwe harpje i nie rwały lwiej części — gdzież była nasza Niepodległość?

Dziwne, przedziwne sprawy się stały w Polsce z uzyskaniem tej pełni niepodległości przez morze. Radziły mędrce nad reformą rolną, radziły nad ustrojem, radziły nad sojuszami zagranicznemi i nad polityką mniejszościową. Polska była jak owa niewiasta z ksiąg Pielgrzymstwa, leczona przez przeróżne doktory.

A przecież w tej sprawie, sprawie morza nie radzono, nie sprzeczano się. Naród powiedział, jak ów syn słowo nieuczone, nabrzmiałe miłością i Polska dźwignęła się i poszła na morze.

Przedziwne są sprawy instynktu. Kiedy nieuczone zwierzę samorzutnie pokazuje kły, kiedy samorzutnie się leczy, kiedy instynktem odnajduje ścieżki miłości i prawa walki.

O ileż wspanialsze patrzeć, jak naród, wielka zbiorowość, stłamszony psychicznie, zmylony, — skoro tylko powiał nad nim wiatr wolności, znajduje dawne szlaki. Nad nim szumią niepogody złych rządów, rozładowują się burze klęsk gospodarczych, on przecież idzie krokiem niemylnym, tak, że kiedy przychodzi Święto Morza, stajemy zdumieni przebytą drogą.

74 kilometry morskiego brzegu pozostało nam z dziedzictwa Bolesławów, kiedy brzeg nasz sięgał do Odry, z dziedzictwa przedhistorycznego, kiedy słowiaństwo sięgało po Łabę. Na tym brzegu kwitły polsko-słowiańskie grody — Gdańsk, Kołobrzeg, Kamień, Szczecin, Wolin...

Choć się ten brzeg kurczył w toku dziejów, przecież

Z pod smolnych pachnących Karpat,
z pod Tatr wyniosłych fiołkowych,
z nizinnych błot, rudawic, kujaw,
wydmuchów i lasków,
z Wołynia, Śląska, Podola, z nad Wisły
i Odry płowej
nad Bałtyk przemy gromadnie, na morze,
fale i piaski.

Parliśmy nad ten Bałtyk gromadnie, spławiając „na komisjach, bykach, łyżwach, gabarach, kozach i pobitkach", na lichtugach, berlinach, krypach i batach i tratwach dobro wszelakie, którem pęczniała Polska.

Jeno tam dalej, na pełnem morzu nam się nie sporzyło. Żeglował ci pono półlegendarny Wizymierz, wnuk Lecha, czubiąc się z Duńczyki. On to założyć miał Gdańsk. Potykał się z Duńczykami i Bolko Krzywousty, już z Duńczykami sprzymierzony, już zdobywający grody przymorskie aż za Kołobrzeg i Szczecin i nawet Rugję.

Ale potem nic do czynienia na morzu nie mamy. Wyjeżdża, wszystkim na znak, po uśmierzeniu Gdańska, Zygmunt Stary na pełne morze, ale to tylko demonstracja. A największa nasza morska wyprawa, kiedy to Zygmunt III, otrzymawszy od Sejmu 300.000 zł., ruszył w sześćdziesiąt dwu i trzymasztowców tłumić rokosz do Szwecji — kończy się klęską. Zmarnował pułk piechoty węgierskiej, pułk gwardji królewskiej, kompanje niemieckie, szkockie, poczty ks. Zbaraskiego, Przerębskiego, Wołłowicza. Razem coś pięć tysięcy chłopa.

Nie wiodło nam się na morzu. Służyło nam przez wieki, ale kto inny wiózł po niem dobro z Polski. Śmieli pionierzy, kaprowie morscy, opieki Rzplitej zbyci, dawali szyje pod miecze zawistnych współzawodników Polski na morzu. Ścinano ich w kopenhaskich kazamatach, Gdańsk nawet uzuchwalony, ściął bezprawnym wyrokiem jedenastu kaprów morskich, żołnierzy królewskich, ubrawszy ich na urągowisko w słomiane korony.

Ta słomiana korona, ofiarowana Polsce przez Gdańsk, stać się miała symbolem. Pod tej słomianej korony rządami w roku 1920 stał na Motławie czarny „Tryton", statek angielski, ładowany amunicją dla broczącego krwią kraju, stał niemy, nieruchomy, bo Gdańsk nie pozwalał go przeładować.

I wówczas to poczęło się z naszej strony. Poczęło się dzieło cudowne, przemyślne, ciągłe, nieprzerwane, zgodne, mądrzejsze, niż przemijające rządy, mądrzejsze, niż skłóceni ludzie, dzieło instynktu.

To wówczas kazano okrętom cudzoziemskim podchodzić ku Gdyni i na morzu, bez falochronu, wyładowywać w barkasy. To wówczas nad fale morskie rzucono pierwszy wątły prowizoryczny pomost drewniany na palach, to wówczas pociągnięto kolej ku Helowi i poczęto się rozglądać gdzie budować port: czy podle jeziora Żarnowieckiego, zbyt jednak ku Niemcom podanego, czy w Pucku, ku któremu by się trzeba guzdrać przez płytką maź zatoki, czy się na trzydziestokilometrowy kanał do Tczewa przepomóc, czy też wreszcie Gdynię wybrać, o której jeszcze hetman Koniecpolski donosił Władysławowi IV, że przedstawia miejsce do budowy warowni i portu „bardzo sposobne".

To wtedy, to dopiero wtedy, po tylu tylu latach, po tylu wiekach, powiał na Polskę silny „wiatr od morza". I wieszczący ten wiatr Żeromski, mógł, patrząc na dzieło, które się dokonuje w Gdyni, pisać: „Jakoby z ręki legendarnego kaszubskiego wielkoluda Stolema, który z Oxywskiego półwyspu ciskał ciężkie głazy w Redłowo, sypią się na redłowskiem pobrzeżu nowe, piękne osiedla".

Teraz... Teraz gdyby Żeromski żył, zaprowadzilibyśmy go na owo miejsce, na którem, pamiętam, droga pieszczysta zakręcała koło kilku checzy kaszubskich, między kilku nie zażywnemi drzewinami. I pokazalibyśmy nabrzeża długości jedenastu kilometrów i baseny o obszarze 320 ha, przystosowane do przyjmowania największych transatlantyków. Składy żelbetowe, składy olbrzymy, rozpierające się na 182,000 metr. kw.; chłodnię największą w Europie na 1200 wagonów; elewator na 15.000 ton; 75 dźwigów, przerzucających 7.500 ton na godzinę, wielkie dziedziny portu, całe jego krainy, przeznaczone każda na inny przeładunek: eksportowego węgla i importowego złomu, rudy, przemysłu rybnego...

Tak się uniósł z wód nagle nad
torfowym moczarem
port gdyński na kesonach:
wychybany lewarem
z bełtów poprzez chmur grzędy
w kamieniste dworzysko
sięgnął wieżyc rozpędem,
wapnem zlepił sklepisko,
a w niem ludzkie ramiona
zwarł stalową obręczą
i tak przęsła dokonał
ku niebieskim przełęczom!

(J. Stępowski)

Nie ujrzał już Żeromski tego portu, ale największa na całym Bałtyku latarnia morska, latarnia jego imienia w Rozewiu, rzuca światło ze swoich sześciu miljonów świec na zasięg 23 mil morskich. Wielka jest latarnia Żeromskiego, 79 mtr., o 16 mtr. wyższa niż wieża Marjacka; a przecież rychło ją zakasuje nowa latarnia, którą wzniesiemy między Jostarnią i Helem.

To sprawy morsko lądowe.

Ale przecież rozbudzony instynkt parł ku przestrzeniom, które łączą światy. W pamięci wskrzesiły się niewyraźne wspominki kaprów, których ścięto w słomianych koronach, gdy w tymże czasie korsarz an-

gielski Drake, grabiący hiszpańskie okręty z czasu pokoju, zdobywający zuchwale nowe lądy, był popierany całą siłą państwa, uroczyście witany przez królową, obsypywany zaszczytami.

Wróciła idea cicha, samotna, już legendarna tylko Jana z Kolna. Z głębi trzewi, nie z akademij i obchodów, naród a z nim jego poeci najmłodsi, poczęli snuć hymn do morza, do wypraw dalekich, do przedłużenia ramienia ojczyzny:

> O zbudź się w nas, szczytna Religjo
> rycerskich ludów północy,
> wołanie za którem dążył
> genjalny wiking, Amundsen
> Większą, niż ziemska Ojczyzna
> bezkresną dajesz Ojczyznę,
> Morze, co lądy przybliżasz
> i kraje i ludy obce.
>
> (A. Madej)

Istotnie — w gruncie rzeczy jeszcze nie tak wiele odmieniło się od czasów Jana z Kolna. I dziś jeszcze np. Argentyna liczy 12 miljonów, a gdyby była tak zaludniona, jak Polska, miałaby 232 miljony. Cóż za różny poziom cieczy w dwu naczyniach! I, wobec odległości, z całej Europy tak samo daleko. Równe szanse.

Poczęliśmy budować okręty.

Jakże to ongi parał się ze swym korabiem Jan z Kolna? — „z nieprzebranej obfitości przedniego budulca wybrał, wysuszył podpaleniem, obrobił toporem przy pomocy majstrów w swojem rzemiośle najprzód stępę dębową, bal olbrzymi, kloc celny, który miał leżeć na spodzie galeony..."

Jakże my budujemy? W kwietniu tego roku stałem na pokładzie „Batorego", który wysuwał się z portu Triesteńskiego w swój pierwszy rejs. Tam, w czeluściach statku nie widać, jak dawniej, jak za moich czasów jeszcze i moich podróży, mechaników, uwijających się z oliwiarkami, balansujących, by się nie dostać w łapy maszyny, z muskułami naprężonemi, by się nie poślizgnąć na lśniącej od smarów podłodze. Nie widzi się już palaczy o nagich torsach, rzucających węgiel w ziejące piece. Tu, na pokładzie niema krzątaniny, krzyków, skomplikowanych manewrów w tył i wprzód, które niedawno jeszcze sprawiały, że parowiec wyruszający z portu napełniał hałasem cały port.

Cicho i sprawnie ogromny smukły korpus motorowca wypływa z portu. Piętrzy się siedem pokładów, jaśnieje amfilada sal, fumoirów, barów nieposzlakowanem pięknem, spokojnem, dosytnem, dostałem pięknem, które wydała praca polskiego artysty.

Najpiękniejszy, — najnowocześniejszy transoceanik Bałtyku rozpoczyna swoją karjerę. I jest polskim statkiem.

Niestety, nie poczynała go praca polska od kładzenia stępy dębowej. Koło mnie stoi inżynier włoski, signor Caesare i posyła ukłony p. Cosulichowi, powiewającemu z molo na nasze pożegnanie. To w stoczni włoskiej budowaliśmy tego „Batorego", pracą włoskich inżynierów. Używamy ich, jak wielki król Batory, który ku pożytkowi Polski wziął do współpracy inżyniera Ridolfino, wynalazcę „ognistych kul", pogromcę Wieliża, fortyfikatora Wielkich Łuk, budowniczego Szymona Gengę, który zamknął Dźwinę fortecą „Djament", gdy Ryżanie buntowali się o wprowadzenie nowego kalendarza przeciw Rzeczpospolitej. Mikołaj Carlini, Andrzej Bertoni, Roseni... cała plejada.

Ale nie wszystko, co jest tradycją mnie wzrusza. Kiedy patrzę na figurę z zielonego bronzu Jana z Kolna, zdobiącą wnętrze okrętowe, wiem, że pozostanie ona wiecznym symbolem, że, po najdłuższem da Bóg pływaniu „Batorego", troskliwe ręce następnych marynarskich pokoleń przeniosą go na następny transoceanik polski. Kiedy patrzę na kolorowy „pleaser" signora Caesare, myślę, że wówczas będzie stał na pokładzie odcumowującego okrętu polski inżynier i że statek wyjeżdżać będzie z polskiej stoczni.

Bo taki jest pęd spraw, wzięty przez wróconą Niepodległości Polskę i pędu tego nic z drogi nie zwróci. Skoro tonnaż naszej marynarki handlowej przerósł 100.000, skoro Gdynia jest portem macierzystym dla 50 linij okrętowych, z czego 20 linij polskich, skoro w Dalmacji pytali mnie dziennikarze „jak wy to robicie, skoro my, już pół wieku niepodlegli, mający tradycje republiki Raguzkiej, mamy zaledwie kilka stateczków kabotażujących gdzieś ku Pireusowi", skoro Portugalczycy wyrażali mi zdumienie, że, będąc trzeciem imperjum kolonjalnem świata, przed wojną nie mieli żadnej linji własnej, a obecnie mają żałosne początki, skoro... ech, co tu gadać, skoro w Gravesund polski marynarz sklął „na perłowo" angielskiego marynarza i wygodził mu nieprawdopodbnym volapukiem od ofermów i niedojdów, bo źle podjechał do schodni — to już teraz zhardziałem, wiem, że będziemy żuli prymkę, zbogacimy leksykon przekleństw tak, że się nieboszczyk Linde w grobie przewróci, a „Kurjer Warszawski" zamknie „kącik językowy" i będziemy budowali, będziemy budowali...

Będziemy budowali nietylko dlatego, że tego wymaga prestige Polski, obronność, samodzielność gospodarcza, bilans handlowy. Będziemy budowali i dlatego, że kapitał inwestowany w żegludze morskiej jest bardzo mały w stosunku do usług, jakie żegluga oddaje gospodarstwu narodowemu. Ilość osób, obsługujących żeglugę całego świata wynosi około 450.000, a łącznie z budową okrętów — około 700.000 osób. Cyfra znikoma. Okrętów oceanicznych (ponad 2000 ton) jest na świecie około 2.000. Ogólna wartość wszystkich oceanicznych okrętów świata wynosiła przed wojną nie więcej, niż 300 milj. funtów szterl., t. zn. mniej aniżeli kapitał inwestowany w dwuch angielskich przedsiębiorstwach kolejowych.

Ale sprawy morskie nie dadzą się załatwić, jak tylko w zespole wszystkich czynników. Nie powstawały potęgi morskie z kalkulacji, z rachunku. Powstawały z narastania „ludu morskiego", z łodzi rybackich, z wypraw żeglarskich, z inicjatywy drobnej a powszechnej. Z tej twardej szkoły rybackiej powstawały potęgi morskie. Holandja i Brytanja poczęły swą potęgę swą zaborczość morską na krwawych bitwach morskich o połów śledzi rybaków szkockich i holenderskich. „Proscription maritime" Ludwika XIV regulująca stan rybacki legła w osnowie potęgi morskiej Francji. Austrja, kiedy zabrała się do budowy floty, oparła się na Dalmatyńskich rybakach.

Polska, wraz z płachetkiem piaszczystych puścieli, stanowiących nasz brzeg morski, otrzymała nędzne, najprymitywniejsze rybactwo morskie przybrzeżne. Takiem też, mimo wszystkie wysiłki, pozostało do 1928 r., aczkolwiek do tego czasu zdołaliśmy się zaopatrzyć w 98 kutrów motorowych o przeciętnej sile 12,5 HP. Od tego czasu ruszyliśmy ostro. Mamy już obecnie 164 kutry o przeciętnej sile 26,4 HP, a więc siła motorów się podwoiła i stały się one zdolne do podejmowania wypraw dalekomorskich. Od 1931 r. wyruszyliśmy na połowy na Morze Północne po śledzie; bobruje po niem obecnie 25 naszych lugrów motorowych. W rezultacie połowy z 1800 ton w 1928 r. wzrosły do 12.000 ton w 1935 r. Co to znaczy? — To znaczy, że w stosunku do połowów bałtyckich innych państw wzrośliśmy z 2% na 12%, to znaczy, że obecnie już pokrywamy 30% konsumcji śledzia w Polsce, gdy w 1930 pokrywaliśmy zaledwie 3,3%.

Stało się, jako pisał Gall kronikarz, upojony sukcesem drużyny królewskiej opanowującej grody przymorskie:

> Pisces salsos fetentes apportabant alii
> Palpitantes et recentes nunc apportabant filii
>
> (Naszym przodkom wystarczały ryby słone i cuchnące
> My po świeże przychodzimy, w oceanie pluskające)

Ale gdy za Gallusa był to tylko wspaniały wypad drużyny królewskiej, taka Somosierra morska, my zamocowujemy się z naszemi rybackiemi sprawami jak słonorośl nadmorska, jak wydmuchrzyca o długich rozłogach podziemnych, wiążąca nadmorskie sypkie piaski. Zbudowaliśmy w r. 1930 chłodnię rybną. Zamrażalnia ryb świeżych obliczona jest na 20 ton dziennie. Przewóz śledzi przez Hamburg przechodzi na Gdynię — budują się chłodnie na 25.000 beczek. Nasze wędzarnie, które w 1927 r. przerobiły 422 tonny, w 1935 r. przerobiły 10.300 tonn. Nasze przetwórnie puszek z 1.800.000 puszek produkcji przed pięciu laty, obecnie skoczyły na 8.000.000. W oparciu o rybołówstwo morskie i związane z nim przetwórstwo rybne rozwinęły się i rozwijają w kraju przemysły pomocnicze, a więc budowy statków rybackich, przemysł sieciarski, beczkarski, olejarski, opakowań do konserw i t. p. Zużyciem krajowej soli, oleju gazowego, smarów, blachy i t. d. oraz zatrudnieniem kilkunastotysięcznej rzeszy robotników rybołówstwo nasze stara się wyrównać czterystomiljonowe brzemię, narosłe w naszym bilansie płatniczym w ciągu ostatniego dziesięciolecia na skutek przywozu ryb łowionych obcemi rękami.

Obecnie zaś... obecnie rozpoczynamy w Wielkiej Wsi pierwsze prace około budowy portu rybackiego. T. zw. „Wielkie Morze" otrzyma pierwszy port na polskiem wybrzeżu; wielki, zajmujący 14 ha, nowocześnie zbudowany.

Nie, to nie Somosierra morska; to rodzenie się dziejom świata nowego morskiego narodu.

Ale, aby się utrzymać ze swymi sprawami morskiemi, trzeba coś więcej, niż pracy i woli. Kto wie, czy przemyślny i twardy lud Piastowski nie stworzyłby i w zaraniu dziejów potęgi morskiej, gdyby nie jego charakter polny, dobrotliwy, nie na skałach bezpłodnych, nie na wikingowych pustkowiach zrodzony, a w kołodziejowym szumie lip; morze tak samo słodko szumiało, jak owe pszczelne lipy. A tymczasem żywioł morski, to okrucieństwo, to prawo silniejszego.

Nowoczesna Polska to rozumie. I jak poprzednie lata były kolejnemi stadjami narastającej świadomości morskiej, jak kolejno — rzekłbyś — odsłaniały się narodowi, rzeczy nie świadomemu, idącemu za instynktem — etapy sprawy morskiej: budowa portu, kupno okrętów, rybołówstwo morskie, wreszcie stocznia własna i budowa okrętów — tak teraz z całą wyrazistością przed naszemi oczyma staje, że ten obiecujący nasz dorobek morski musi być chroniony przez polskie okręty wojenne.

Z trosk i niepokojów narodu, który nie zatracił instynktu morskiego, powstaje hasło tegorocznego „Święta Morza":

DOZBROIĆ POLSKĘ NA MORZU!

Patrząc w lata przeszłe, mamy wiarę. Patrząc w lata przeszłe, czujemy się narodem młodym. Więc patrząc w przyszłość, widzimy polskie okręty wojenne, bez których nie masz całości, nie masz ukoronowania naszych spraw morskich.

E. A.

Gospodarka społeczna a niebezpieczeństwa biurokracji

Wchodzimy w nowy okres historyczny, który cechować będzie wiele bardzo istotnych przemian w stosunku do tego co dotąd istniało jako podstawa układu społecznego. Czy to się komu podoba czy nie — nowy okres cechować będzie w stosunku do dawnego znaczny wzrost funkcyj publicznych, przyczem przyrost tych funkcyj mieć będzie miejsce pomimo naganki Lewjatana, liberałów i im pokrewnych — na „etatyzację", „biurokrację" i wszelkie niebezpieczeństwa bardziej lub mniej urojone. Niebezpieczeństwa, jakie wyrastają przed życiem społecznem kraju, zmuszają do silniejszego niż dotąd uspołecznienia, polegającego naturalnie nie na mechanicznem gromadzeniu ludzi, ale na ich organizowaniu tak samo jak i na organizowaniu wszelkiego rodzaju środków. Trzeba zdać sobie sprawę, że niema innej drogi dla wzmocnienia sił kraju jak tylko wzmożenie jego „potencjału społecznego". W ten więc sposób w okresie odżegnywania się od „etatyzowania" będziemy znów zmuszeni dalej „etatyzować", a mimo zarzutów „biurokratyzowania" — nastąpi dalszy wzrost funkcyj publicznych, które muszą stanąć do pracy na całym szeregu ważnych odcinków życia z braku kandydatów do wykonywania zadań publicznych, które wykonywane być muszą.

Jednakże proces dalszego uspołeczniania życia i produkcji wymagać będzie nietylko zwiększenia wysiłków ale i nowych ludzi, o specjalnem nastawieniu, ludzi o specjalnej ideologji. Coraz bardziej rośnie społeczna potrzeba ludzi, którzy żyliby sprawami publicznemi bardziej niż dotąd bezinteresownie, którzy postawieni na pewnej placówce w krótkim okresie czasu nie przekształcaliby się na bezdusznych biurokratów. Takich zaś ludzi posiadamy bardzo niewielu, trzeba więc zwiększyć szanse na wzrost tych kadr ludzkich. Już w chwili obecnej mamy na służbie publicznej masy tych, którym służba dla społeczeństwa jest sprawą zupełnie obcą: ludzie ci przeszli szkołę w przedsiębiorstwach pracujących dla zysku, w nich wyrobili sobie ów specyficzny a tak szkodliwy w służbie publicznej światopogląd i, zmuszeni do szukania pracy gdziekolwiek, zapełnili instytucje publiczne po brzegi owym elementem interesu osobistego, obojętności dla tego co nie jest związane z zyskiem osobistym, często wytwarzający w sobie pogardę, nienawiść nawet, dla instytucji, w której zupełnie przypadkowo się znaleźli. Ludzie ci marzą w tajemnicy, a często i nie ukrywają tego, że pragnęliby się znaleźć znów w swoim żywiole — w „przedsiębiorstwie prywatnem". Z nich rekrutuje się najgorszy typ biurokraty, któremu wszystko jest obojętne poza osobistą karjerą, oni należą do najbezwzględniejszych przełożonych, zatruwających życie tym, którzy mieli nieszczęście znaleźć się wśród personelu podwładnego, oni też wykazują niesłychane wymagania, jeśli chodzi o wysokość uposażenia, dodatki, awanse, reprezentację i t. p. Są wśród nich dawni giełdziarze i spekulanci, którzy zmuszeni byli z powodu zaniku handlu walutami i papierami wartościowemi szukać „spokojnego chleba" i ten nowy stan rzeczy bardzo się im daje we znaki; są też i zbankrutowani właściciele różnych przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych, którzy, zapatrzeni w przeszłość, na stanowisku publicznem próbują stosować „wolno-handlowe" czy „wolno-przemysłowe" metody albo, nie mogąc ich stosować, dają temu wszędzie wyraz, przekonują wszystkich, że to co jest nie może istnieć długo, ale skończyć się musi nawrotem do dawnych, dobrych czasów. Często wykazują oni nadzwyczajną inicjatywę... w dziedzinie, w której nie może być mowy aby przyniosła korzyść społeczną i pożytek sprawie publicznej; występują z nadzwyczajnemi projektami, których realizacja narażałaby życie publiczne na oczywiste straty. Czasami w działalności swej „ryzykują" oni w sposób, jaki cechować może tylko gracza na giełdzie — czego życie publiczne nie znosi, jest ono bowiem bardziej aniżeli prywatne narażone na różnego rodzaju szkody. Czasami znów wykazują nadzwyczajną ostrożność lub zupełny brak inicjatywy wówczas, gdy skutek osiągnąć można tylko natychmiastowem sprężystem działaniem.

Lewjatan bardzo często straszy ludzi niebezpieczeństwem biurokracji, który to straszak wyciąga zawsze wówczas na scenę, gdy nikt nie chce słuchać jego planów łatwego i szybkiego uszczęśliwienia społeczeństwa przez powrót do pełnej gospodarki kapitalistycznej na zysku i inicjatywie prywatnej opartej. Nic jednak nie wspomina o tem ilu życiu publicznemu dostarczył on najbardziej typowych biurokratów. Wyobraźmy sobie bowiem sposób załatwiania spraw przez jakiegoś byłego właściciela większego zakładu przemysłowego — na stanowisku kierownika państwowego zakładu przemysłowego, czy miejskiej elektrowni, gazowni, dyrektora kasy chorych, kierownika spółdzielni i t.p. Ileż z pośród tych instytucyj „konkuruje" z zakładami prywatnemi na zysku opartemi i jakie czyni wysiłki, aby wykazać się choćby tylko formalnie takiemi samemi jak tamte albo większemi zyskami. Zapominają one bardzo łatwo, że ich zadania podstawowe leżą w zupełnie innej dziedzinie — że obowiązane one są przedewszystkiem obsługiwać szerokie rzesze klijenteli, która nie może i nie chce wchodzić w tajniki „kalkulacji handlowej" (idjotyczny termin wzięty z przedsiębiorstwa pracującego dla zysku), a która musi mieć pełne zaufanie, że została obsłużona najuczciwiej, za najniższą cenę i niezależnie od tego co za daną usługę bierze obok istniejące i dla zysku pracujące przedsiębiorstwo. Tymczasem powstające i rozszerzające się stale zakłady wytwórcze i usługowe od samego początku nastawiają się na „zysk", który zresztą idzie w znacznej części na... wynagrodzenie kierujących zakładem osób, — zupełnie analogicznie do tego jak to ma miejsce w gospodarce przedsiębiorstw pracujących dla zysku. Wszak nawet urzędnicy ministerjalni otrzymują premje w zależności od wyników swej działalności! Ci, którzy przeszli z „życia gospodarczego" do prowadzenia „zacofanych" placówek życia publicznego, wprowadzili ze sobą w to życie nieznane przedtem inowacje, które miały na celu wzmóc prawdziwego „ducha gospodarczego" w kierowanych przez owych działaczy placówkach.

Wytworzyła się taka paradoksalna sytuacja, że bez interwencji specjalnych osób — tem się zajmujących — nawet placówki publiczne nie mogłyby w dzisiejszych warunkach bytowania istnieć. Placówki prywatne już mają od dość dawna sztab tego rodzaju „interwenjentów", którzy są u nich na służbie, zresztą „za ciężkie pieniądze". Mamy więc nawet dawnych ministrów, którzy są tego rodzaju „przedstawicielami" zakładów przemysłowych" urzędując (niezależnie od tego gdzie taka fabryka się znajduje) w Warszawie a popyt na tego rodzaju „pracowników" coraz to bardziej się wzmaga, co tłumaczy się tem, iż dawniejsi „interwenjenci" z czasem tracą „stosunki" i ich interwencje przestają być skuteczne. „Ruch" więc w tej „branży" jest dość znaczny — mówiąc słowami biuletynów przeznaczonych dla „sfer gospodarczych", a pensje zarządzających zakładami przemysłowemi dochodzą do zawrotnych, jak na nasze dzisiejsze gospodarcze warunki, wysokości i mogą być porównywane chyba tylko z dochodami... rejentów lub pisarzy hipotecznych! Zbiurokratyzowanie, zmaterjalizowanie, odduchawianie życia społecznego kraju, zawdzięczamy w znakomitym stopniu duchowi „sfer gospodarczych", które chociaż formalnie występują przeciw wszelkiej biurokracji — faktycznie szykują się do objęcia rządów w nowej Polsce, w której zasadniczo... niby się nie zmieniło w ten sposób poza pewnym szyldem. Te rachunki zawiodą ich niewątpliwie. Wszystkie zdrowe siły w Polsce winny się sprzymierzyć, by zdemaskować owe na daleką skalę zakrojone zamierzenia, które mają na celu ujarzmienie życia kraju przez zachłanny zawsze kapitał i jego wiecznych czcicieli. Gospodarka społeczna nie może być obciążona wszystkiemi ujemnemi stronami gospodarki prywatnej. W każdym razie nie może zaczynać od tego, by — na wzór gospodarki prywatnej — za główny motor działania uznawać miała zasady niczem nieograniczonego indywidualnego zysku biurokracji gospodarczej.

Adres Redakcji i Administracji

Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 6.09.70

Artykuł dyskusyjny

Jan J. Kowalczyk, Katowice

W sprawie gospodarczego programu

W referacie, wygłoszonym w kwietniu w Katowicach na dorocznym Zjeździe Związku Urzędników Państwowych, Samorządowych i Komunalnych na Województwo Śląskie, postawiłem — jako wytyczne działalności społeczno-gospodarczej Polski w najbliższym okresie — następujące cztery tezy:

1. unarodowienie wielkiego przemysłu,
2. uspółdzielnienie rolników,
3. częściowy wewnętrzny obrót bezgotówkowy,
4. przymus pracy dla młodych bezrobotnych.

Znając, obok ogólnokrajowych, szczególnie stosunki śląskie, pragnę zacząć od rozpatrzenia tych ostatnich z punktu widzenia dążeń do przeobrażenia naszego ustroju gospodarczego i społecznego. Układ stosunków gospodarczych na Śląsku posiada również duże znaczenie polityczne z punktu widzenia obronności kraju. Polska musi wyzbyć się wpływów niemieckich na bieg i rozwój wielkiego przemysłu śląskiego, bo inaczej nigdy nie będzie gospodynią u siebie w domu. W szczególności w tym wielkim warsztacie i ośrodku sił gospodarczych, jakim jest Śląsk.

Zagadnienie to zostało poważnie skomplikowane i utrudnione w latach poprzednich. Traktat Wersalski dał Polsce, w art. 92 i 297 b, prawo zatrzymania i likwidacji majątków, praw i udziałów, należących do obywateli niemieckich lub do spółek przez obywateli niemieckich kontrolowanych. Rząd polski stopniowo od 1922 r. z prawa tego zrezygnował, aż całkowicie wyrzekł się go w dniu 29 października roku 1929 w umowie ratyfikowanej następnie wymianą odpowiednich dokumentów w dniu 21 kwietnia r. 1931.

Jednakże sprawa nie jest jeszcze przegrana całkowicie. Uprawnienia do likwidacji majętności niemieckich w Polsce powstają od czasu do czasu i powinny być w całości wyzyskiwane, mianowicie, gdy nadarzają się nadzory sądowe. Od maja 1934 roku trwa nadzór nad Wspólnotą Interesów. Koncern ten nie powinien więcej powrócić w ręce niemieckie. Wiadomo przecież, że większość jego akcyj znajduje się w posiadaniu Fryderyka Flicka, który jest tylko figurantem rządu niemieckiego, istotnego posiadacza niemieckiego pakietu akcyj zarówno Katowickiej Spółki Akcyjnej dla Górnictwa i Hutnictwa, jak i Górnośląskich Zjednoczonych Hut Królewskiej i Laury S. A.

Jeżeli Rząd nasz przeprowadzi układy pomyślnie i upaństwowi ten wielki koncern, będzie to dopiero połową spełnionego zadania. Rząd bowiem nie powinien zatrzymać się przy upaństwowieniu, ale poczynić dalsze stanowcze kroki ku unarodowieniu i uspołecznieniu naszego wielkiego przemysłu.

Jakiego rodzaju mogą być tutaj formy i metody działania? Najprostszą z tych form jest zwykłe przejęcie przez Państwo, czyli upaństwowienie. Lecz przy upaństwowieniu zakładów przemysłowych wynikają wielkie niebezpieczeństwa. Przedewszystkiem wkrada się w ich administrację biurokracja. W przedsiębiorstwie państwowem nie każdy czynnik miarodajny ma poczucie samodzielnej odpowiedzialności. Każdy czeka na inicjatywę zgóry, jeden drugiego się boi i dlatego sprawy muszą być rozstrzygnięte zbiorowo — siłami wspólnemi, co dla kierownictwa pociąga za sobą odciążenie, lecz dla przedsiębiorstwa duże koszty administracyjne ze względu na wielką ilość dyrektorów, a równocześnie niedostateczną sprawność działania.

Jeszcze jedna sprawa!

Państwo przechodzi różne koleje. Ma lata tłuste i chude. W latach chudych rządy chętnie wyrzekają się swej własności. Myślano swego czasu u nas serjo o sprzedaży albo conajmniej o wydzierżawieniu naszych kolei żelaznych. Zatem najważniejszą instytucję państwową chciano oddać cudzoziemcom. Na szczęście w owych czasach nie znaleźli się kapitaliści zagraniczni, gotowi do kupienia względnie wydzierżawienia Polskich Kolei Państwowych. Dosadniej bije w oczy inny przykład. Mamy pod Tarnowskiemi Górami słynną Strzybnicę, z której Prusacy wydobywali corocznie poważne zapasy ołowiu i srebra. Po przejęciu Śląska przez Polskę, wydzierżawiono przedsiębiorstwo spółce francuskiej. Ponieważ zakłady strzybnickie nie dawały Francuzom spodziewanych zysków, zamknęli kopalnię i hutę, wyrzucając na bruk setki polskich robotników i kilkudziesięciu pracowników umysłowych.

Państwo więc — a mam na myśli każde wogóle państwo — nie jest odpowiednią instytucją do wyłącznego posiadania i uprawiania przemysłów, które inny właściciel może lepiej prowadzić. A tym innym właścicielem jest społeczeństwo, jest naród. Jak to zdanie rozumieć, jakie zawarte są w niem postulaty? Według mnie, mieszczą się one w następujących trzech punktach:

po pierwsze, by Państwo miało udział w posiadaniu przedsiębiorstw, a więc, by nabywało na własność część ich akcyj i by dzięki tej współwłasności państwowej zasiadali conajmniej w nadzorze przedstawiciele rządu;

po drugie, by wszyscy bez wyjątku pracownicy, zatrudnieni w tych przedsiębiorstwach, mogli zostać ich akcjonarjuszami i by obok przedstawicieli rządowych mieli w radzie nadzorczej swych delegatów;

po trzecie, by możliwie jaknajszersze sfery konsumentów krajowych, a więc członków naszego społeczeństwa i narodu dopuszczone były do nabywania akcyj tych przedsiębiorstw i by z tego tytułu mogły mieć swych przedstawicieli w nadzorze i w zarządzie.

A więc Państwo, robotnicy i urzędnicy oraz szeroki ogół społeczeństwa mają być akcjonarjuszami i mają mieć wspólny nadzór nad przedsiębiorstwami, a zatem także pieczę nad ich prawowitem i sprawnem działaniem we wszystkich możliwych działach i kierunkach.

Jak sobie w praktyce wyobrazić należy przeprowadzenie tych propozycyj?

1. Rząd przejmie na rzecz Skarbu Państwa tyle akcyj, ile odpowiadać będzie łącznej sumie zadłużenia Wspólnoty Interesów z tytułu zaległych podatków i innych zobowiązań. Akcje może Rząd zatrzymać w całości dla państwa albo też tylko w części, resztę odstępując społeczeństwu.

2. Pracowników fizycznych i umysłowych obie spółki, należące do Wspólnoty, zatrudniają jeszcze teraz w liczbie łącznej około 20 tysięcy osób. Licząc po conajmniej 10 akcyj 100 złotowych na każdego pracownika, dałoby to razem 20 miljonów złotych. Pracownikom potrącałoby się od każdomiesięcznej wypłaty pewien niewielki procent, np. 4 do 5%, na poczet spłaty należności za nabyte akcje. W ciągu kilku lat każdy miałby spłaconą należną za akcję kwotę i aniby się spostrzegł, jakby stał się współwłaścicielem warsztatu pracy, w którym ma zajęcie.

3. Pozostałe akcje należałoby rozsprzedać między szeroki ogół społeczeństwa, bądź w gotówce i ewentualnie na spłatę, bądź wzamian za 4% Pożyczkę Konwersyjną i to wyłącznie osobom fizycznym. Państwo przyjęłoby spowrotem odpowiednią ilość obligacyj pożyczki a wzamian dałoby każdemu odpowiednią ilość akcyj Wspólnoty Interesów.

W ten sposób dług Państwa w postaci Pożyczki zostałby zamieniony w dług Państwa w postaci obligacyj z tytułu wykupienia akcyj i przejęcia wierzytelności Wspólnoty Interesów. Procenty, płacone dotychczas właścicielom obligacyj Pożyczki, byłyby płacone przez Skarb Państwa dawnym akcjonarjuszom i wierzycielom Wspólnoty Interesów. Stopa procentowa wraz z amortyzacją wynosić winna nie więcej jak 4%, z czego połowa mogłaby być przeznaczona na amortyzację.

Ratalne spłaty gotówkowe pracowników i innych nabywców akcyj nowej spółki na poczet kupionych przez nich akcyj, mogłyby być obracane na pokrywanie niezbędnych ulepszeń, gdyby takie były potrzebne, co zwolniłoby spółkę od ewentualnych pożyczek.

Nowi akcjonarjusze otrzymywaliby wzamian za dotychczasowe procenty od Pożyczki, czy też w formie oprocentowania włożonego kapitału gotówkowego, dywidendę od akcyj, przyczem według wszelkiego prawdopodobieństwa dostawaliby wyższy procent, niż od obligacyj, bo zakłady Wspólnoty Interesów nawet w czasach kryzysowych płaciły odsetki D — bankom i innym, częściowo fikcyjnym instytucjom pożyczkowym. Ponieważ nowa spółka nie będzie płaciła żadnych procentów, bo otrzyma wszystkie zakłady bez długów, wobec tego akcjonarjusze o dochody ze swych akcyj powinni być spokojni.

* * *

To cośmy dotąd rozważali, stanowi dopiero etap w rozwoju gospodarki unarodowionej. Przemysł upaństwowiony i unarodowiony, czy, jeśli kto chce, uspołeczniony, winien być skartelizowany, i to pomimo

wszystkich przeciwnych nawoływań, żądań i wniosków. Jak dotąd, Rząd nasz stanął w tej sprawie w połowie drogi. Rozwiązał zdaniem mojem jaknajsłuszniej, przeszło 90 karteli i to takich, które prowadziły żywot pasorzytniczy na ciele naszego państwa i społeczeństwa. Natomiast zostawił przy życiu kartele, produkujące tak zwane surowce, potrzebne bądź na opał albo do wytwarzania siły pędnej, jak węgiel, nafta i benzyna, bądź jako materjał przetwórczy, jak żelazo, stal i cynk. Gdyby te tak zwane kartele surowcowe miały nazawsze zostać własnością czystej wody kapitalistów i to jeszcze w dodatku kapitalistów zagranicznych, jak to jest obecnie, należałoby bezwzględnie popierać żądania tych wszystkich polityków i ekonomistów, którzy domagają się ich rozwiązania. Twierdzą oni słusznie, że wszystkie obecne kartele uniemożliwiają prawdziwą rentowność przedsiębiorstw, bo bądź utrzymują zakłady ze staremi i zużytemi narzędziami przy życiu, obok zakładów zmodernizowanych, bądź nawet płacą właścicielom takich zaśniedziałych zakładów za to, że są bezczynne i zamknięte, co wszystko niezmiernie podraża ceny produktów. Słuszne w związku z tem jest dalsze twierdzenie, że po wyeliminowaniu przestarzałych i nierentujących się zakładów przemysłowych, przedsiębiorstwa żywotne i zmodernizowane będą mogły o wiele wydatniej produkować, nie potrzebując ciągnąć za sobą tych trupów przemysłowych. A produkując wydatniej i taniej, będą miały zwiększony zbyt dla swych produktów. Przy zwiększonym zbycie potrzebować i zatrudniać będą większą ilość nowych sił roboczych. W konkluzji tedy dadzą zatrudnienie nowej masie robotników, może nawet tym, którzy utracili pracę z powodu zamknięcia starych, nierentujących się zakładów.

Przy przemyśle unarodowionym sprawa karteli przybiera jednak zupełnie inne oblicze. Tu muszą one pozostać, a gdyby ich nie było, musiałyby być powołane do życia z następujących przyczyn:

1. będą musiały stwierdzić i zdecydować, które z należących do nich zakładów są rentowne, a które naprawdę deficytowe i stosownie do tego stwierdzenia, będą musiały deficytowe zamknąć a rentowne rozwinąć.

2. Po tem stwierdzeniu będą musiały regulować ceny swych produktów, ale nie wgórę, lecz wdół, w interesie Państwa i konsumentów.

3. Będą musiały wejść w bezpośrednie porozumienie z wielkiemi kartelami czyli spółdzielniami rolniczemi i wzamian za dostarczanie im swych produktów przemysłowych, będą odbierały od nich dla swych robotników produkty rolnicze.

Po unarodowieniu przemysłu powstać muszą trzy wielkie rodzaje karteli albo, jeśli kto chce, wielkich spółdzielń, opartych prawnie bądź na ustawie o spółkach akcyjnych, bądź na ustawie o spółdzielniach. Zaistnieją mianowicie: kartele wielkiego przemysłu surowcowego, a więc węglowego, żelaznego, stalowego, cynkowego i naftowego; dalej kartele wielkiego przemysłu przetwórczego we wszystkich jego gałęziach i odmianach; wreszcie kartele producentów rolnych i leśnych. O ile chodzi o zakłady przetwórcze produkcji leśnej i rolnej, jak tartaki, młyny, cukrownie, rzeźnie (szczególnie po zniesieniu szechity czyli uboju rytualnego), wytworzone przez nie kartele wtłoczą się między kartele producentów rolnych i kartele przemysłowe i stać się winny własnością ludności miejskiej i wiejskiej.

Tak wyobrażam sobie postęp gospodarczy w niedalekiej przyszłości. Jedni mogą go nazywać gospodarką planową, drudzy gospodarką unarodowioną, jeszcze inni gospodarką uspołecznioną, jak kto chce, byleby jej sens i cel dobrze zrozumiano.

* * *

A na co i poco te przemiany?

Poto, abyśmy mogli bez ubiegania się o pożyczki zagraniczne, a więc o własnych siłach wydostać się z gnębiącego nas kryzysu gospodarczego. Mając bowiem unarodowione kartele przemysłowe i uspółdzielnione kartele producentów rolnych i leśnych, możemy obyć się — mimo zwiększonego obrotu — bez drukowania zwiększonej ilości banknotów, a więc bez inflacji pieniężnej, za pomocą **obrotu bezgotówkowego**. Dla wyjaśnienia tej sprawy przytaczam prosty przykład z życia praktycznego.

Na mocy układu handlowego między Polską a Niemcami odbywa się od listopada 1935 roku **bezgotówkowa wymiana** towarów między temi państwami. Polska wywozi do Niemiec przeważnie produkty rolne i hodowli rolniczej. Niemcy dostarczają nam wzamian za to swe produkty przemysłowe. Co mogą robić dwa państwa, na to mogą się zdobyć także dwie gałęzie przetwórcze: przemysł i rolnictwo wewnątrz jednego państwa. Jak państwa muszą być zorganizowane, by móc uprawiać taką wymianę, tak też musi zorganizować się przemysł i rolnictwo. Ponieważ państwa mogą obyć się bez gotówki przy wymianie, tem snadniej mogą to zrobić wewnątrz każdego państwa zorganizowane gałęzie produkcji.

Po stworzeniu unarodowionych karteli przemysłowych oraz uspółdzielnionych karteli rolniczych i leśnych, musi bezzwłocznie nastąpić niezmiernie ważna zmiana w cenach produktów, szczególnie przemysłowych. Przemysł bowiem, po przeprowadzeniu sumiennej kalkulacji, dojdzie do przekonania, że ceny jego produktów są wygórowane i mogą być obniżone, bo **nie obciążają ich więcej nierentowne** zakłady, które zostaną porzucone. Skartelizowane spółdzielnie rolnicze, dostając dzięki obniżce cen produktów przemysłowych, towary te taniej niż dotąd, nie będą miały powodu żądać wyższych cen za swoje produkty rolnicze. Wobec tego **zamkną się nożyce cen produktów rolniczych i przemysłowych.**

Dla ułatwienia wymiany produktów unarodowionych karteli przemysłowych i uspółdzielnionych karteli rolniczych musi powstać **Ogólnokrajowa Izba Wymiany**, której rola polegać będzie na rodzaju clearing'u, stwierdzającego w pewnych, np. w miesięcznych odstępach czasu, ile kartel przemysłowy dostarczył kartelowi rolniczemu towarów, za jaką cenę i odwrotnie.

Każdy kartel względnie jego zakład przemysłowy będzie miał u siebie jaknajdogodniej dla swych pracowników położone składnice i sklepy z towarami, które są potrzebne tym ludziom. Sklepy te mogą być albo prywatne, albo też spółkowe. Zarobki pracowników przemysłowych względnie (po wsiach) należność za dostarczone produkty rolnicze, otrzymają ludzie w formie **bonów**, opiewających na złote i bonami temi płacić będą za towar. Jeżeli zaś bony przewyższać będą wartość ogólną zakupionych towarów, dana jednostka może je zamienić na życzenie na gotówkę złotową w kasie sklepowej, albo też w kasie swego zakładu, w którym pracuje.

* * *

Pod koniec przystąpmy do rozważenia sprawy bezrobotnych, szczególnie tych, którzy wskutek naturalnego przyrostu nie mają widoków dostać w kraju zatrudnienia. A jednak muszą dostać pracę, bo z głodu umrzeć nie mogą. Na posiedzeniu Sejmu z dnia 22 lutego 1936 r., minister Opieki Społecznej Jaszczołt, podał liczbę młodzieży w 1935 r. w wieku lat 16 do 19 na 1.900.000, a za sześć lat, w 1941 roku będzie tych młodych ludzi 3.100.000, którzy już teraz skazani są na stałe bezrobocie. Jest to straszna tragedja. W ludziach tych tkwi wielki kapitał moralny i materjalny. Weźmy tylko ostatni pod rozwagę. Jeżeli rok roboczy policzymy tylko na dwieście dni roboczych, to 2 miljony ludzi może dać razem 400 miljonów dni roboczych. Licząc skromnie wartość dnia roboczego po jednym złotym od osoby (tę cyfrę podaję jako minimalny wzór), daje to stratę w wysokości 400 miljonów złotych rocznie. Od tej niezmiernie niskiej sumy musimy zacząć i zabrać się do inwestycyj, wymagających dużo pracy ręcznej a stosunkowo mało nakładu materjalnego. Do takich inwestycyj należą: budowa dróg bitych, budowa kolei normalno-torowych i kolejek wąsko-torowych, regulacja i usławnianie rzek oraz budowa kanałów wodnych. Do tych robót potrzebne są różne narzędzia, jak łopaty, kilofy, siekiery, młoty, taczki i t. p.

Nasz wielki przemysł śląski ubiega się stale o dostawę swych fabrykatów do Rosji Sowieckiej, które jej sprzedaje po niskiej cenie na dłuższe spłaty wekslowe, gwarantowaną przez nasze Państwo. Kubek w kubek te same tranzakcje może przemysł nasz, zwłaszcza, gdy będzie unarodowiony, przeprowadzać z naszem a nie sowieckiem państwem. Potrzebować będziemy w najbliższym czasie setek tysięcy czy nawet miljonów metrów kubicznych kamienia drogowego, minimum 2 miljony taczek żelaznych albo drewnianych, conajmniej po 2 miljony łopat, kilofów, siekier i tem podobne. Lasy państwowe i prywatne mogą dostarczyć odpowiedniego materjału drzewnego, szczególnie lasy państwowe również na kilkoletni kredyt. Trzeba będzie budować wzdłuż dróg i rzek baraki dla pomieszczenia robotników, pozakładać wzdłuż nich warsztaty dla naprawy narzędzi, ubrań, obuwia, urządzić kuchnie polowe i t. p. Konsumcja wewnętrzna wzrośnie niesłychanie, a partycypować będzie w niej cała Polska.

Pewien procent zarobków bez wyjątku **wszystkich pracowników** fizycznych i umysłowych, można, jak się to już obecnie dzieje, obracać na Fundusz Pracy i z niego opłacać bieżące wydatki, a więc na pomieszczenie, wyżywienia i przyodzianie tych Odeerów (Oddziałów Drużyn Roboczych). A oddziały te powinny być na mocy ustawy przymusowo moblizowane do pracy, podobnie, jak do służby wojskowej, o ile chodzi o młodych ludzi. Tak stało się w Bułgarji zaraz po wielkiej wojnie światowej, tak dzieje się w wielu innych krajach od pewnego czasu. Wszyscy tam pracują i produkują, wszędzie powstają podziwu godne dzieła pracy i genjuszu ludzkiego. Tylko u nas rozlegają się żale na zastój w przemyśle, na brak pracy, na niskie ceny płodów rolnych i produktów, a bezrobotni grożą wszelakiego rodzaju zbrodniami, jeżeli nie dostaną pracy i chleba. Trzeba z tem raz nareszcie skończyć. Jeżeli zabierzemy się do organizowania życia gospodarczego choć w przybliżeniu na sposób wyżej podany, z pewnością ruszymy z miejsca i Państwo nasze, dzięki płodności ludności i bogactwu skarbów naturalnych, stanie naprawdę w rzędzie wielkich państw Europy środkowej.

Roman Pogucki

Problemy Dalekiego Wschodu

Ekspansja Japonji na teren stałego lądu Azji nie jest wynikiem polityki imperjalistycznej w politycznem tylko słowa tego znaczeniu. Polityczne oblicze tego problemu jest bowiem raczej logicznym wyrazem konieczności dyktowanych przez potrzeby gospodarcze wysp japońskich. Konieczności te wyrastają z jednej strony z dynamiki ludnościowej w Japonji, z drugiej są wywołane zapotrzebowaniem surowców dla dzisiaj już potężnego japońskiego przemysłu przetwórczego i wytwórczego, z trzeciej wreszcie są wynikiem potrzeby znalezienia rynków zbytu dla fabrykatów i półfabrykatów japońskich.

Można dzisiaj śmiało powiedzieć, że cała Japonja — poza nielicznemi stosunkowo ugrupowaniami o zabarwieniu komunistycznem, rekrutującemi się głównie z ośrodków proletarjatu fabrycznego i pewnych środowisk uniwersyteckich oraz intelektualistycznych — hołduje tendencjom ekspansji konjunkturalnej. Tendencje te nie są jednolite, jeżeli ujmować je z punktu widzenia ich programu, a właściwie metod. Na tem tle widać wyraźnie dwa prądy. Pierwszy jest reprezentowany przez tendencje kolonizacyjne. Przyrost i przerost ludnościowy ma być przeniesiony z wysp na kontynent w celu kolonizowania obszarów opanowanych poprzednio militarnie, przyczem mocne są kierunki, pragnące tej kolonizacji nadać charakter głównie rolniczo-wojskowy. Drugi z wskazanych prądów metod ekspansji japońskiej na kontynent, ma na celu stworzenie dla macierzy dogodnego terenu eksploatacji surowców i zbytu towarów japońskich, by poprzez wzrost produkcji i sprzedaży podwyższyć przeciętny dochód społeczny, a w konsekwencji zwiększyć dobrobyt gospodarczy ludności japońskiej.

Oba programy są zbieżne w jednem, stworzyć dla 70 miljonów, mieszkających na wyspach Japończyków, posiadających w 1933 roku przyrost naturalny 13,8‰, a zajmujących obszar mniejszy od terytorjum Polski o 7000 km² — warunki dla zaspakajania potrzeb i wzrostu dobrobytu gospodarczego.

Z tych przesłanek wynika, że ekspansja japońska musi skierować się w stronę kraju, który posiada zarówno ziemię, jak i surowce, przedstawia dogodny teren zbytu, a przedewszystkiem jest słabszym pod względem organizacji wewnętrznej i pozycji międzynarodowej, to jest w kierunku Chin. Problem ekspansji na obszar Chin nie jest jednak prosty. Chiny nie przedstawiają bowiem terenu dogodnego dla kolonizacji, będąc typowym przykładem kraju asymilującego imigrację. Ta ich chłonność, której skutki uczuli na sobie zarówno Mongołowie, jak Mandżurowie, stanowi pozatem dużą niedogodność dla ich militarnego i administracyjnego opanowania. Chiny stanowią natomiast naturalny rynek zbytu dla towarów japońskich i przebogate źródło surowców.

By — przynajmniej narazie — nie drażnić Wielkiej Brytanji i Stanów Zjednoczonych, Japończycy obrali za teren działania obszar od Hoang Ho na północ, łącznie z półwyspem Szantuńskim. Przy realizacji swych dążeń musieli oni napotkać tutaj na interesy inne, wyrażające pierwotnie również tendencje gospodarcze, to jest na Rosję. Naturalnym terenem starcia stał się obszar krzyżowania interesów, to jest trzy prowincje północne Chin: Kirin, Heilungkiang i Liaoning oraz Dżehol, zachodnia prowincja Mongolji wewnętrznej, a więc łącznie obszar dzisiejszej Mandżurji, która pierwotnie ograniczała się właściwie do trzech pierwszych prowincyj. Widomym znakiem tych interesów stały się koleje (za komunikacją idą inwestycje produkcyjne), to jest kolej wschodnio-chińska i południowo-mandżurska.

Równocześnie musiała się rozpocząć gra o wpływ na Chiny. Ze strony rosyjskiej, gra zapoczątkowana była już układem chińsko-rosyjskim (Li—Łobanow)) z maja 1896 roku. Etapem tej gry stał się ostatni układ nankiński sowiecko-chiński w przedmiocie akcji wojsk komunistycznych. Ewolucja, której wyrazem są te dwa układy jest znamienna. O ile bowiem Łobanow traktatem z 1896 r. osiągnął korzyści przedewszystkiem gospodarcze, o tyle układ ostatni jest wyrazem dążności sowieckich, wywołanych naporem japońskim na kraje nadamurskie i przybajkalskie z jednej strony, a w kierunku Mongolji zewnętrznej z drugiej strony, przyczem celem ekspansji sowieckiej do środkowej Azji jest utrzymanie bezpośredniego kontaktu z Chinami właściwemi, a w ten sposób umożliwienie rozwoju komunizmowi chińskiemu, notabene zgoła specyficznemu, bo przeważnie komunizmowi agrarnemu, stanowiącemu reakcję na feudalne stosunki rolne w Chinach. Cel ten jest dzisiaj w dużej mierze osiągnięty. Mongolska Republika Ludowa (Mongolja zewnętrzna) jest ściśle związana z Z.S.R.R. a Sin-Kiang (Turkiestan chiński), po nieudanych próbach rewolucyjnych, aranżowanych zapewne czyto przez Wielką Brytanię, czyto po podziale wpływów w środkowej Azji (Anglja—Tybet, Z.S.R.R.—Sin-Kiang) przez Japonię, pozostaje w orbicie bezpośrednich wpływów sowieckich. Należy dodać, iż stosunek Sin-Kiangu do Z.S.R.R. pod wieloma względami przypomina stosunek Mongolji zewnętrznej do Sowietów w okresie po 1921 roku.

W ten sposób Sowiety zbliżyły się ku Chinom, uzyskując równocześnie ważne pod względem strategicznym olbrzymie przedpole, broniące dostępu do pasm górskich, oddzielających Z.S.R.R.

Na posunięcia sowieckie Japończycy odpowiedzieli akcją, mającą na celu związanie Mongolji wewnętrznej z Mandżurją i Chinami północnemi. Walka, jaka się w tej chwili rozgrywa, to walka właśnie o Mongolję wewnętrzną, stanowiącą zaporę dla Z.S.R.R. przed Chinami właściwemi. Japończycy organizują więc samą Mongolję wewnętrzną (z czem, jak tego dowodzą ostatnie głośne w prasie codziennej wypadki z oficerami i urzędnikami mongolskimi, mają kłopoty), a równocześnie prowadzą dalszą akcję nad umocnieniem się politycznem i gospodarczem w Mandżurji i Chinach północnych. Oczywiście, w tej chwili trudno przewidzieć dalszy bieg tej akcji, wydaje się jednak, iż pod względem politycznym nie ostatnia rola jest wyznaczona dynastji Ching (Mandżu), obecnie spowrotem osadzonej na tronie mandżurskim, to jest w kraju, z którego w pierwszej połowie 17 wieku rozpoczęła podbój Chin.

Z.S.R.R. skolei poprzez potężny manewr, jakim stał się przemarsz chińskich armij komunistycznych poprzez całe Chiny i koncentracja tych armij na północnym zachodzie Chin właściwych, stara się wziąć z jednej strony we dwa ognie Mongolję wewnętrzną, z drugiej zaś zapewnić sobie bezpośredni kontakt z temi armjami, a w konsekwencji z Chinami właściwemi.

Dla rozgrywek, jakie się będą musiały rozegrać w Azji, o ile nie nastąpi podział wpływów pomiędzy Japonją a Z.S.R.R., zarówno jak i dla gospodarczego opanowania poszczególnych terytorjów, koniecznem jest należyte zorganizowanie komunikacji. Japończycy dobrze wykorzystują władzę swą w Mandżurji, rozbudowując sieć kolei mandżurskich i wiążąc je z odkupioną koleją wschodnio-chińską, noszącą obecnie nazwę kolei północno-mandżurskiej oraz prowadząc tory kolejowe coraz bardziej na zachód.

Jak twierdzą źródła japońskie i niemieckie, Sowiety również nie pozostały bezczynne, rozbudowując z jednej strony sieć kolei graniczących od północy i wschodu z Mandżurją, z drugiej strony sieć Turk-Sibu w kierunku na Sin-Kiang, wreszcie zaś kończąc rzekomo budowę kolei bajkalsko-amurskiej, stanowiącej stosunkowo mało zagrożoną magistralę dla transportów na wschód.

Jak długo stosunki sowiecko-japońskie pozostają w sferze drobnych starć (i to właściwie pomiędzy Mongolją a Mandżurją), przechylając się to w jedną, to w drugą stronę, w Chinach zaś nie bierze góry ani komunizm, ani też Japończycy, tak długo zapewne inni partnerzy wielkiej gry na Dalekim Wschodzie, to znaczy Stany Zjednoczone i Wielka Brytanja oraz częściowo Francja, nie wykażą większych bezpośrednich zainteresowań. Sytuacja ta zapewne zmieniłaby się rychło na wypadek przewagi Z.S.R.R., lub Japonji, mogącej się stać groźną dla interesów czyto brytyjskich, czyto amerykańskich.

Barometrem może być w znacznym stopniu Sachalin, na którym bezpośrednio graniczą ze sobą interesy japońskie i sowieckie, przyczem oba państwa zajęte są teraz eksploatacją surowca podstawowego dla prowadzenia wojny, to jest ropy. O ile jednak Z.S.R.R. posiada pozatem naftę kaukaską, to Japonja w dużej mierze opiera się na nafcie sachalińskiej, jako tańszej i

łatwiejszej w eksploatacji od nafty wytwarzanej z szyfrów i węgla mandżurskiego. Nafta ta, wraz z rudą, węglem i drzewem Mandżurji, stanowi jedną z podstaw zaopatrzenia surowcowego Japonji.

Jest jasne, iż ograniczony stosunkowo zapas nafty sachalińskiej nie może zaspokoić potrzeb japońskich. Stąd też powstaje powiązanie problemów Dalekiego Wschodu z problemem Archipelagu Indyjskiego i problemem Pacyfiku w postaci konieczności zaopatrywania się Japonji w naftę holenderską i w postaci apetytów japońskich na składy naftowe w Filipinach. Z drugiej zaś strony poprzez dotykanie interesów angielskich powstaje związek z problemem indyjskim i Azji środkowej, co znowu powoduje łączność ze sprawami Bliskiego Wschodu i kwestją muzułmańską, stwarzając w ten sposób największy chyba węzeł polityczny współczesności.

W sprawie Brzozowskiego

Witold Kosiński

Zmartwychwstanie Incognitusa

„A w nocy miał sen: zdawało mu się, że ma sklep z papierem, starym zadrukowanym papierem. Przynoszono mu całe pliki, zapisane szkarłatną krwią, z napisami: Żeromski, Przybyszewski, Wyspiański. Rozwijał je, na stole rozkładał, a stojący obok Henryk Sienkiewicz, z wytwornym uśmiechem i pieczątką, na papierze tym dwa wyrazy „ruja i porubstwo" wyciskał, a on, Incognitus, żydówkom do zawijania masła go sprzedawał. A nad niemi trzepotał się olbrzymi nietoperz o głowie wypasionej rzeźniczki i trzepaczkę miał w ręku, pod skrzydłem. Skrzydłami trzepotał, trzepaczką machał i śmiał się".

ST. BRZOZOWSKI: WIDMA MOICH WSPÓŁCZESNYCH.

Z myślą, że są w Polsce ludzie, którzy współczesność mierzą kryterjami siedemnastowiecza, pogodzić się można. Że ludzie tego typu uznali za właściwe wznowienie „założonego 1661" „Merkurjusza Polskiego" może być nawet rzeczą naturalnego dostosowania formy do reprezentowanej niekiedy treści.

Inaczej rzecz się ma jednak, gdy wyraz „ordynaryjny" zmienia się w ordynarny (bez cudzysłowów). Szczególnie zaś, kiedy za przedmiot tej ordynaryjnej napaści wybiera się pamięć bezbronnego, bo nieżyjącego pisarza. Wówczas protest publiczny jest konieczny. Wówczas pozostaje jedno — i tylko jedno — napiętnowanie.

Człowiek, który podsuwa przypuszczenie, że głosy domagające się rehabilitacji znakomitego pisarza są inspirowane przez Komintern (vide nr. 15 i 17 „Merkurjusza Polskiego"), który — pisząc z wielką pewnością o danym temacie — sam plącze się w najważniejszych datach (rzekome wstąpienie do ochrany w roku 1900, zamiast w 1904, jak mówił Bakaj; rezolucja literatów — r. 1920, miast 1923), który w tej sprawie uznaje tylko dwa „autorytety": Grabca i Niemojewskiego, który twierdzi niezachwianie (w roku 1936), iż „najcięższe oskarżenia z lat 1918 — 1925 nietylko nie zostały przez nikogo obalone, ale nawet poważnie zakwestjonowane"(!), który podważa celowość wydawania dzieł zbiorowych Brzozowskiego argumentem, że „u każdego antykwarjusza na Świętokrzyskiej można znaleźć dawniejsze wydania Brzozowskiego, niektóre nawet po cenach groszowych" (!), gdy większość tych dzieł — i to najważniejszych — należy oddawna do najrzadszych i najdroższych pozycyj handlu antykwarskiego — człowiek, który najoczywistszym faktom gotów jest bez wahania zaprzeczyć, tego rodzaju człowiek nie może żądać, by go traktowano poważnie, sam sobie bowiem wydaje świadectwo złej woli i ubóstwa myśli: testimonium pauperitatis.

Stara to metoda polemik: słowa przeinaczać, tekst fałszować, fakty przekręcać — i bezimiennie znieważać. Stosowana z perfidją, z demagogją niezrównaną — wiecznie aktualnemi czynić będzie nabrzmiałe bólem zdania Józefa Piłsudskiego — o potwornym, zaplutym karle.

Nie dziwimy się istnieniu publicysty, dla którego Brzozowski jest „myślicielem", ujętym w ramki cudzysłowów, w którym praca Feldmana budzi „już tylko refleksje niepozbawione uczucia żenady" i który „pociesza się", że „wieszcza — z Wyspiańskiego — zrobić się nie udało, a co większa nie udało się narzucić poezji Polaków jego chorego rozwichrzonego majaczenia, jego obowiązującego stylu". Lecz przecież całość życia umysłowego Polski nie może być sprowadzona do poziomu „powrotnego analfabetyzmu" w zakresie pojęć kulturalnych, filozoficznych i społecznych. A chyba niczem innem, jak tylko „powrotnym analfabetyzmem" umysłowym, są tego rodzaju wystąpienia, jakie zademonstrowane zostały na łamach 15 i 17 n-ru „założonego 1661" „Merkurjusza" „ordynaryjnego".

✵

PRZYPISEK REDAKCJI: Po otrzymaniu artykułu p. Kosińskiego zastanawialiśmy się nad ostrością niektórych jego określeń i — moderowaną wprawdzie — gwałtownością szczerego niewątpliwie oburzenia. Decyzję zamieszczenia poprzedziliśmy skrupulatnem zapoznaniem się z treścią kwestjonowanych artykułów „Merkurjusza". Niestety, w wyniku tego zapoznania twierdzenia p. Kosińskiego o metodzie myślenia i pisania autora danego artykułu w „Merkurjuszu", musiały wydać się aż nadto uzasadnione.

Przytoczmy, celem ilustracji, początek omawianego artykułu w n-rze 15 „Merkurjusza". Brzmi on, jak następuje:

„Pisaliśmy już kiedyś na tem miejscu o Brzozowskim. Zresztą Czytelnicy nasi wiedzą dobrze jaką rolę odegrał ten „myśliciel" w t. zw. ideologji t. zw. Młodej Polski. Wiedzą także kim był p. Feldman i jakie znowu on miał zadanie, lansując Brzozowskiego i jego epigonów, aż do szlachetnego człowieka, wielkiego malarza, ale mętnego poety, Wyspiańskiego, włącznie".

Trzy zdania, kilka wierszy, głupstw rażących więcej, niżeli słów. Wyspiański „epigonem" Brzozowskiego — brednia nieprzytomna. Gdy Wyspiański umierał — Brzozowski wydał dopiero parę książek bez istotniejszego znaczenia. Zarówno „Kultura i życie", jak „Legenda Młodej Polski", jak „Idee", „Sam wśród ludzi", „Głosy wśród nocy" — wszystko, co stanowi oparcie pozycji Brzozowskiego w umysłowości polskiej (łącznie zresztą z najważniejszą pozycją powieściową „Płomieniami") — przypada na okres lat 1907 — 1911. Skąd więc ten frazes o „epigoniźmie" Wyspiańskiego w stosunku do Brzozowskiego? — Brak elementarnych wiadomości, czy wyjątkowe niechlujstwo pisania? — Innej hipotezy postawić nie jesteśmy w stanie.

„Czytelnicy nasi wiedzą dobrze jaką rolę odegrał ten „myśliciel" w t. zw. ideologji t. zw. Młodej Polski" — znowu zdanie bez sensu. Czytelnicy może wiedzą, ale czy autor wie, co rozumie pod samem określeniem „ideologja Młodej Polski"? Czy była taka „ideologja", któraby z natury rzeczy musiała „ideowo" łączyć Przybyszewskiego, Kasprowicza, Wyspiańskiego, Żeromskiego, Reymonta, że wymienimy tutaj tylko szczytowe nazwiska t. zw. „Młodej Polski"? A jeśli tak, to jaką „rolę" w stosunku do wszystkich wyżej wymienionych „odegrał" Brzozowski?

Znowu dziwne pomieszanie pojęć i słów. Brzozowski, jako myśliciel, był niewątpliwie częścią okresu „Młodej Polski" (bo pojęcie „Młodej Polski" jest przedewszystkiem właśnie pojęciem pewnego okresu w literaturze, nie pojęciem pewnej „ideologji"). Natomiast jako ideolog i myśliciel odegrał on niewątpliwie dużą rolę, jednak już nie w stosunku do „Młodej Polski", której był on, że użyjemy zapożyczonego wyrażenia, właśnie „epigonem", sędzią i krytykiem, lecz nie zapładniaczem ideowym, ani artystycznym. Rola ideowa Brzozowskiego jest rolą w stosunku do pokolenia następnego, pokolenia, nie piszącego, lecz walczącego. To są rzeczy, które należy rozróżniać. Inaczej powstaje dziwna „wiatrologja" nieodpowiedzialnego słowa.

Lecz jeszcze nie koniec. Czytelnicy „Merkurjusza" wiedzą, według zapewnienia Redakcji, „kim był p. Feldman i jakie znowu on miał zadanie, lansując Brzozowskiego i jego epigonów". Lecz czy Redakcja „Merkurjusza" wie napewno, że Feldman szczególnie „lansował" Brzozowskiego? — Bo w istocie stosunek Feldmana do Brzozowskiego był bardzo daleki od entuzjazmu. Jeśli Redakcja nie wierzy — niech zajrzy do literatury Feldmana. Sprawdzenie twierdzeń w książce — nie jest grzechem dla publicysty. Lepiej wprawdzie czynić to przed pisaniem.

Nie chcemy przedłużać polemiki, choć każdy niemal wiersz się o nią prosi. Może jeszcze będziemy mieli możność bardziej szczegółowego powrócenia do niej. Tymczasem jeszcze tylko kilka słów o istocie dzisiejszego stanu „sprawy Brzozowskiego".

Rozumowanie przyjęte przez Redakcję „Merkurjusza": niech przyjaciele Brzozowskiego dowiodą jego niewinności — jest z gruntu fałszywe. Istotnie, do najważniejszych zadań Polskiej Akademji Literatury, ważniejszych od trosk krzesełkowych, lub od wyszukiwania tych, którzyby chcieli przyjąć bezwartościowe od pierwszego dnia „wawrzyny" — powinno być przystąpienie do rozpatrzenia tej sprawy. Póki jednak w nowych okolicznościach nie nastąpi zbadanie sprawy, Brzozowski w opinji polskiej musi być uważany za niewinnego. Dowodzić trzeba winy, nie niewinności. To jest jedna z kardynalnych zasad współczesnego wymiaru sprawiedliwości. Czemu w tej właśnie sprawie porządek ten ma być odwrócony?

DROGI I BEZDROŻA

Kanikuła

„Ciepło i pogodnie ze skłonnością do przejściowych deszczów i burz". Tak wygląda w meteorologji meteorologicznej. W meteorologji politycznej niema skłonności do przejściowych... burz. Kanikuła i tyle. Zawiedzione stronnictwa opozycyjne zapadają w sen... letni. Skończyły się wszelkie kombinacje na temat „frontu Morges" i różnego rodzaju innych frontów — a wrócą chyba dopiero w jesieni. Proces anarchizowania kraju nie mógł oczywiście ustać całkowicie, uległ jednak znacznemu zahamowaniu.

Nienajmniej interesującą jest kwestja, w jaki sposób do odprężenia może przyczynić się program gospodarczy rządu, przedstawiony w sejmie przez p. min. Kwiatkowskiego. Prasa endecka nazywa senatora Wojtka-Malinowskiego „wielkim optymistą", ponieważ wystąpił z poglądem, że już sama zapowiedź „czteroletniego planu" walki z bezrobociem wywołała odprężenie. Z drugiej strony prezes Z. Z. Z. (organizacji, do której należy również i sen. Malinowski), Moraczewski, wystąpił z enuncjacją, w której uważa plan rządowy za nie mogący prowadzić do istotnego „rozładowania" bezrobocia, na co potrzeba w ciągu czterech lat ok. trzech miljardów złotych, gdy tymczasem p. wicepremjer rozwinął plan mobilizacji 1,800 milj. złotych, z czego ok. 500 milj. z instytucyj t. zw. „rynku sztywnego", zdaniem b. premjera rządu ludowego, pozostają pod znakiem zapytania „Palcem gwoździa się nie wbija tylko młotem" — woła leader ruchu robotniczego pod adresem oficjalnych kierowników polityki gospodarczej naszego państwa, wzywając ich do większej śmiałości i energji w zwalczaniu zła.

Dla konserwatystów natomiast już to, co uczynił p. Kwiatkowski przez założenia swojej polityki gospodarczej stanowi młot, młot — który ich zdaniem — wali w kapitalizm i dlatego konserwatyści ustosunkowywują się obecnie ostro opozycyjnie do osoby i programu p. Kwiatkowskiego. W tem tylko szkopuł, że p. Kwiatkowski zajmuje stanowisko kierownika polityki gospodarczej rządu, na którego czele stoi gen. Sławoj-Składkowski. W Sejmie w czasie dyskusji nad expose Pana Wicepremjera Pan Premjer zasiadł na sali, gotów do bezpośredniej obrony. Dopiero w Senacie rozwiązały się języki pp. konserwatystów, bo mimo kanikuły nawet ks. Janusz Radziwiłł nie zawahał się wygłosić dłuższego przemówienia, w którem wymownie zwierzył się słuchaczom ze swoich „czarnych", bardzo czarnych myśli.

Równocześnie zaś konserwatyści przystąpili do aktywizowania swego stronnictwa politycznego w „kraju". Oczywiście bez mas: na masy panowie z „Czasu" liczyć nie mogą. Ale organizacyjka polityczna, choć szczątkowa może im się przydać,—jak to się przysłowiowo mówi — „na wszelki przypadek".

Przytyk

Na swój sposób zwalczają kanikułę endecy. „Historyczny proces" w „historycznej" mieścinie Przytyku daje im sposobność do propagandy „haseł stronnictwa, które słowo Naród wypisało na swoim sztandarze".

Nie bracia rodacy! Ten proces nie przejdzie do historji w postaci jasnego i bohaterskiego wspomnienia opiewanych przez epików homeryczych bojów. Przytyk jest natomiast symbolem polskiej beznadziejności, beznadziejności, z którą raz należy skończyć. Pod polskiem niebem musi być więcej istotnej myśli, więcej entuzjazmu, więcej twórczości. Dynamizm mas powinien się wyładować na płaszczyźnie wielkich, istotnie historycznych przeżyć, przekształcających rzeczywistość Ojczyzny. Dynamizm mas na miarę Przytyka — to jeszcze nie jest walka o Polskę.

Przyjmijmy, że Stronnictwo narodowe mogłoby zrealizować w całości swój program likwidacji ghetta w drodze systematycznych wysiłków antysemickich i przeprowadzić akcję „samoobrony przed głodem" biednego i ciemnego chłopa z okolicy Przytyku. Coby się przez to zmieniło? Nic, albo bardzo niewiele. Stronnictwo narodowe, jako ruch reakcyjny, nie przynosi masom ludowym żadnego nowego dobra, nie podnosi ich, nie wprzęga do wielkich, dziejowych poczynań narodowo-państwowych.

Może dlatego wszelkie sukcesy tego stronnictwa są tak płytkie i tak nietrwałe. Gdzieindziej wyrosną kuźnice pełnej chwały przyszłości Narodu.

NOSTROMO

Kilka rad dla p. Premjera

Gdyby to Pan Generał chciał słuchać recept prasowych to mielibyśmy dla niego kilka rad, które napewno mogłyby wyjść na korzyść trudnemu, a ważnemu dla ojczyzny dziełu, którego się podjął z rozkazu Naczelnego Wodza.

Poradzilibyśmy mu przedewszystkiem, aby nieco przyśpieszył zmiany personalne w administracji. Symboliczny „starosta z Łowicza" nie powinien pozostać przykładem... odosobnionym. Administracja nasza zdążyła się „usztywnić" i w całym szeregu wypadków dobory personalne nie odpowiadają już tym zadaniom, jakie aparat administracyjny ma do spełnienia w okresie prac nad „rozładowaniem bezrobocia" i mobilizacją sił społecznych, w okresie prac nad wzmożeniem obronności kraju.

Mamy jeszcze na wielu ważnych posterunkach przedstawicieli „starego" systemu, systemu, który był dobry przed — powiedzmy — trzema laty, kiedy obowiązywał w całej Polsce, ale który jest anachroniczny dzisiaj w zupełnie zmienionych warunkach. Aparat administracyjny wymaga dużego odnowienia „in membris", odnowienia, jakie zresztą — „mutatis mutandis" — konsekwentnie zostało przeprowadzone w armji. Tymczasem wielu panów tak długo „zasiaduje się" na swoich fotelach, że nabrali przeświadczenia o swej nieodzowności i ta rzecz stanowczo przeszkadza ostatecznemu odprężeniu i wciągnięciu mas na płaszczyznę państwowo-twórczego dynamizmu. Zmiana kilku dygnitarzy, wejście na teren ludzi nowych, rzutkich i utalentowanych najskuteczniej przeciwdziałałoby nastrojom apatji i tępego odrętwienia; a nie byłoby większej szkody, jak przejście mas ze stanu aktywności anarchicznej i niepożądanej do stanu nowej apatji i nowego odrętwienia. Masy muszą bowiem być aktywne i utrzymanie ich aktywności musi być dogmatem naszej nowej polityki państwowej, tej, której symbolem są w dzisiejszej sytuacji nazwiska generałów Marszałka.

Rząd gen. Sławoja-Składkowskiego nie powinien być rządem stagnacji i przeczekania; ani postać szefa rządu, ani jego enuncjacja programowa nie pasują go też — wbrew opinjom opozycji — na rząd mechanicznego tylko poskromienia ruchów anarchicznych, w jakich, jak dotąd, wyrażał się aktywizm mas. Rząd ten musi tedy być rządem czynów; rządem śmiałym, chwytającym za rogi rzeczywistość Polski, szarą i niewesołą, ale daleką od beznadziejności.

Dla rządu gen. Sławoja-Składkowskiego lato nie powinno być w tym roku... kanikułą.

NOTATNIK ZAGRANICZNY

KONIEC SANKCYJ nadszedł prędzej, aniżeli można było przypuszczać. Pomimo zaciekłej opozycji „Labour Party" przeciwko odejściu Anglji od polityki sankcyjnej sprawa ta na gruncie angielskim jest przesądzona. Premjer Baldwin i minister Eden otwarcie oświadczyli, że rząd angielski podejmuje na terenie Ligi Narodów inicjatywę, zmierzającą do zniesienia sankcyj. W mowie wygłoszonej w Wisham w Szkocji p. Baldwin przyznał, że dalsze stosowanie sankcyj nie prowadziłoby do żadnego rozsądnego celu i że zmianę faktów dokonanych przez Włochy w Abisynji możnaby teraz jeszcze prowadzić tylko przez wojnę z Włochami, wojnę, na jaką Anglja nie idzie, ponieważ właśnie dąży do utrzymania pokoju.

Zdawałoby się, że nowy skrajnie lewicowy rząd francuski energiczniej, aniżeli gabinet konserwatystów brytyjskich, przeciwstawi się planom Mussoliniego; w okresie kampanji wyborczej stronnictwa prawicowe insynuowały nawet stronnictwu „Frontu ludowego", zamiar wyzyskania konfliktu afrykańskiego dla zbrojnego wystąpienia przeciwko Włochom faszystowskim. Tymczasem, czy dlatego, że te sugestje były fałszywe czy też i dlatego, że Włochy ujawniły swą siłę, rząd Bluma jeszcze bardziej, niż rząd Baldwina śpieszy się z odejściem od sankcyj i nawiązywaniem kontaktu z Rzymem. Nawet oficjalnie zawiadomiono już w Paryżu ambasadora Włoch Cerratiego, że Francja rezygnuje z dalszego stosowania sankcyj, nie uzależniając nawet tego, jak Anglja, od uchwały Ligi Narodów.

HASŁO „BLUM — LA GUERRE" spaliło na panewce. Te same pokojowe afekty okazuje Paryż także i w stosunku do niemieckiego faszyzmu. Charakterystycznym tego dowodem była ostatnia podróż ministra „Frontu ludowego", w dodatku członka partji socjalistycznej, p. Selliera do Niemiec i serdeczne przyjęcie zgotowane w kraju Hitlera przedstawicielowi tego „żydowsko-masońsko-bolszewickiego" rządu.

Jest wiele danych po temu, aby przyjąć, że stosunki między czterema wielkiemi narodami Zachodu — pomimo wszelkich wewnętrznych przeobrażeń — układać się będą nadal w płaszczyźnie, wyłączającej wojnę. Grozi to krajom centrum i wschodu Europy akurat temi samemi niebezpieczeństwami, co w r. 1933, w dobie t. zw. „paktu czterech".

W ABISYNJI Włochom potrzebne jest już tylko formalne uznanie aneksji tego kraju przez wielkie mocarstwa. Na ten temat toczyć się będą przy okazji nadchodzącej sesji generalnej zakulisowe rozmowy, już zresztą przygotowywane poprzez „sondaż" opinji rządów wielkich mocarstw.

Według obiegających pogłosek Anglja ma się zadowolić nadaniem przez Rzym nowemu „cesarstwu" statutu, zapewniającego ludom podbitym pewną samodzielność i swobodę. Że postanowienia takiego „statutu" mogą pozostać tylko czystą teorją, o to już nad Tamizą nie będą szczególnie się trapić.

„CZWARTA MIĘDZYNARODÓWKA" t. zw. rewolucyjnych socjalistów z pod znaku Trockiego ujawniła swą akcję podczas ostatnich wielkich strajków francuskich, a bodajże i belgijskich. Przy tej okazji w prasie francuskiej pojawiły się „rewelacje", dotyczące finansów i metod działania organizacji trockistów.

Zwłaszcza „Jour" podał sensacyjne wiadomości o kontaktach Trockiego z Trzecią międzynarodówką, która jakoby grała we Francji na dwie ręce. Zupełnie zgadzamy się z „Robotnikiem" co do fantastyczności tych informacyj dziennika, nie cieszącego się zresztą bynajmniej solidną opinją. Trockiści są zaciekłymi wrogami komunistów oficjalnych — we Francji tak samo, jak i w Rosji akcja ich godzi przedewszystkiem we wpływy... Trzeciej międzynarodówki. A zatem— nonsens!

Inne mieszczańskie dzienniki francuskie insynuują, że trockiści uzyskali poparcie i „forsę" w Niemczech hitlerowskich. To już brzmiałoby o wiele prawdopodobniej, aniżeli informacje „Jour'a".

Sprawa ma zresztą raczej „historyczne" znaczenie, bo fala strajków już przepłynęła z Francji do... Belgji.

Zastępca.

NOTATNIK GOSPODARCZY

Rynek wewnętrzny

(r. p.) Jest dzisiaj już pewnikiem, iż bez wzmożenia konsumcji wewnętrznej, bez ożywienia obrotów na rynku krajowym nie może być żadnej trwalszej poprawy. Dźwignięcie konsumcji krajowej, rozwój siły nabywczej szerokich warstw stanowić zawsze muszą jeden z kanonów polityki gospodarczej. Uprzemysłowienie kraju wiąże się w nierozerwalny sposób z poprawą sytuacji chłopów, poprzez odpływ ze wsi do miast oraz stworzenie rynku zbytu dla szeregu wytworów przemysłowych na wsi, co łączy się ze wzmożeniem siły nabywczej rolnictwa. Jest rzeczą jasną, iż równolegle z przebudową struktury agrarnej musi iść zaopatrywanie rolnictwa w kredyt. Komitet Ekonomiczny Ministrów powziął ostatnio w tym kierunku szereg uchwał. Zmierzają one do postawienia do dyspozycji rolnictwa w bieżącym roku kwoty 65 miljonów złotych. Kredyty te mają obejmować 40 miljonów zł. w formie kredytów rejestrowych, 15 miljonów złotych w formie kredytów zaliczkowych, 7 miljonów złotych przeznaczonych jest na kredyty dla handlu i młynów handlowych, a 3 miljony złotych dla olejarń. Dodać należy, iż z 7 miljonów kredytów dla handlu, 4 miljony mają być postawione do dyspozycji spółdzielni. Wkońcu zaznaczyć trzeba, iż został postanowiony wzrost kredytów eksportowych hodowlanych o 5 miljonów złotych.

Tendencją Ministerstwa Rolnictwa jest, by wysokość kredytów odpowiadała wysokości sum docierających do producentów, by więc z pieniędzy skarbowych, przeznaczonych na pomoc dla rolnictwa, możliwie jaknajmniejszy procent został zjedzony przez manipulacje rozprowadzenia kredytów na rynek.

Gospodarczy efekt wzmożenia akcji kredytowej dla rolnictwa będzie jednak prawie w zupełności zależał od polityki aparatu rozdzielczego. Trzeba jasno postawić sprawę, iż kredyty te nie mogą w żadnym razie być obrócone na podtrzymanie zbankrutowanych większych przedsiębiorstw rolnych. Wręcz przeciwnie, winny one być przedewszystkiem kierowane do drobnego rolnika. Można sądzić, iż sumy przeznaczone dla handlu spółdzielczego, a więc 7 miljonów złotych pójdzie w tym kierunku. W tym samym kierunku muszą iść jednak i pozostałe fundusze — poza rejestrowanemi. Ponadto należałoby życzyć, by powyższy, 65 miljonowy fundusz, w żadnym razie nie obrócił się na reformę rolną. Na ten cel będą musiały być zmobilizowane inne kapitały.

Ażeby jednak kredyty przyznane wywołały objawy wtórne jeszcze w bieżącym roku gospodarczym musi iść — równolegle z rozdziałem kredytów — akcja, zmierzająca w kierunku wzrostu konsumcji wytworów przemysłowych przez chłopów, przedewszystkiem oczywiście takich, które będą miały charakter produktywnych inwestycyj z jednej strony, a przyczynią się do podciągnięcia kulturalnego wsi z drugiej strony. Ponadto wydaje się potrzebnem, aby powyższe kredyty były plasowane wśród rolników z uwzględnieniem oczywiście przedewszystkiem ich najlepszego wykorzystania, a następnie sytuacji gospodarczej poszczególnych obszarów Polski, to znaczy by proporcjonalnie większy odsetek tych kredytów trafił na ziemie wschodnie, oraz na tereny na których sytuacja gospodarcza chłopów jest szczególnie ciężka, ale postawa ich gospodarcza aktywna.

Z TYGODNIA

Obrady „Lewjatana"

W dniu 15 b. m. odbyło się w Warszawie walne zebranie Centalnego Związku Przemysłu Polskiego. Przy sposobności tego zebrania wygłosił czołowy reprezentant sfer wielkoprzemysłowych, p. pos. Wierzbicki, obszerne przemówienie o charakterze politycznym. Wypłynęły w niem mocno żale z powodu obniżki cen węgla i żelaza. Pojawiło się jednak i zadowolenie z powodu zainteresowania i zamierzonej opieki rządu nad gałęzią wytwórczości maszyn i narzędzi rolniczych. Najbardziej interesujące są w przemówieniu posła Wierzbickiego niewątpliwie aluzje do podjętej z szeregu ośrodków akcji nad zorganizowaniem politycznem społeczeństwa. „Powstała więc — mówi pos. Wierzbicki — i zrealizowana została koncepcja zjednoczenia kół pułkowych i związku legjonistów w jeden obóz Obrońców Ojczyzny. Konsoliduje się grupa „naprawiaczy", tworząc „Związek Działaczy Społecznych", który niedawno odbył swój Zjazd. Organizuje się „Zarzewie". Jakby na dnie tych wynurzeń odczuwa się westchnienie: „a my — czyż nie powinniśmy się zorganizować!" Tylko że takie zjednoczenie byłoby zbyt ciasne i w formie i w treści. Nie starczą za ogólny program grupowe interesy gospodarcze. A przejście nad niemi do porządku i uchwycenie się szerszych perspektyw będzie w „Lewjatanie" spewnością trudniejsze, aniżeli gdziekolwiek.

Nowa fala teroru w Gdańsku

Spokojny ton raportu Wysokiego Komisarza L. N. Lestera, przesłanego na majową sesję Rady Ligi Narodów, w którym przebijał optymizm co do wykonania przez władze Wolnego Miasta zaleceń sesji styczniowej, rozzuchwalił hitlerowców gdańskich. Prysły hamulce pewnego — jakże powierzchownego i pozornego! — zastanowienia i uspokojenia. Wódz hitlerowców gdańskich, gauleiter Forster, zapowiedział bez wszelkiej żenady, że teror trwać będzie trzy tygodnie. Asumpt do napaści i krwawych bójek dały wypadki nieoddawania honorów przeciągającym przez ulice miasta hitlerowskim pocztom sztandarowym. Pochody tego rodzaju urządza się w ostatnim czasie nader często, jakby umyślnie zamierzano sprowokować bójki. Ceremonjał ten odbywa się w ustalony ze szczegółami sposób. Kroczy sobie oddział S. A. ze sztandarami na czele i pieśniami hitlerowskiemi na ustach. Oczy S. A.-mannów świdrują przenikliwie przechodzącą chodnikami uliczność. Gdy tylko ktoś z przechodniów nie zdejmie przed godłami partyjnemi kapelusza, natychmiast wypada z szeregów maszerujących grupa hitlerowców. W mgnieniu oka leży „winowajca" na chodniku. W ostatnim czasie zdarzyło się jednak i szereg napaści, odbiegających od opisanej. Wystarczy wszak raz rozpętać instynkty. Na przedmieściach odbywają się prawdziwe hitlerowskie polowania na upatrzonego.

Ofiarą nowej fali wybryków padło też kilku Polaków, którzy odnieśli rany. Znajdują się między nimi i obywatele polscy. Fakt ten wywołał ostry protest Generalnego Komisarza R. P. Jesteśmy przekonani, że w rękach władz polskich znajdą się dostateczne środki, by można było położyć kres „pomyłkom" hitlerowców gdańskich. Cóż jednak zrobi opozycja gdańska? Sądzimy, że mimo zarzutów zdrady — nie zrezygnuje z międzynarodowych instancyj ochrony.

O właściwe słowa

Nie tak dawno jedno z pism w zapale polemiki zarzuciło swoim przeciwnikom, że tytułowanie przez nich Piłsudskiego „Komendantem" jest conajmniej śmiałe. Wszak najbliżsi nawet nie zawsze dostępowali tego zaszczytu. Nie poto przypominamy ten incydent by dochodzić czyjejś racji. Idzie nam o coś zupełnie innego. Powstała u nas nieznośna manjera, że gdy pisze się lub mówi o Józefie Piłsudskim używa się słów napuszonych i zarazem mało naturalnych. A tymczasem określenia wielkie, koturnowe, są zwykle zimne i sztuczne. Natomiast z nazwiskami wielkich ludzi łączą się czasem słowa, które choć nie wypowiadają całej treści ich życia i choć są tylko tytułem ziemskiej funkcji, stają się najpełniejszym ich określeniem, w którem niema ani jednej fałszywej nuty, a jest prawda. Takie właśnie słowa w odniesieniu do Piłsudskiego, to — „Komendant" i „Marszałek". Z iluś tam lat nie będzie się o Nim pisało na codzień „Wódz narodu", „Budowniczy Niepodległości", bo przecież o rzeczach oczywistych zawsze mówić nie trzeba, lecz zostanie Komendant, lub Marszałek Piłsudski, połączenie słów, w których najprościej wyraża się stosunek narodu do Niego.

Na podobny, choć ogólniejszy, temat, snuje bardzo trafne uwagi p. Lewicki w ostatnim czerwcowym numerze „Harcerstwa" w artykule „Człowiek i doktryna". Zajmuje się on charakterem tego, co się o Marszałku pisze i mówi, dostrzegając w tem wszystkiem niepożądane momenty. Więc „nie powinien pisarz, traktując temat marszałkowy, używać wytartego słownictwa przemówień okolicznościowych. Że bohater, że niezłomny duch i że świetlanej pamięci. O Piłsudskim musi się pisać prosto i zwarcie". Ale są jeszcze inne zagadnienia więcej zasadnicze — „Sporo żarliwych, chwalących, niecierpliwych, entuzjastycznych słów poświęciła poezja, publicystyka i historja temu, który zdawał się wyrastać poza wszelkie granice sensu werbalnego. Śmierć Marszałka spotęgowała wielokrotnie ten opar wymowności. Skutek tego jest niepożądany i wręcz szkodliwy. W słowach przemówień i wspomnień rozpływa się żywa energja społeczna, płynąca ze świadomości tego, że Marszałek jest wśród swego społeczeństwa obecny. Do niedawna myśl o Nim łączyła się żywo z poczuciem odpowiedzialności, z drgnieniem zaufania i wiary: dlaczego dzisiaj pamięć Marszałka utrwala się przedewszystkiem celebralnym kurhanem na Sowińcu... i dlaczego płynie tyle słów tam, gdzie należałoby zamilknąć i zamyślić się tylko? Epitaficzny charakter literatury, biorącej swój początek z śmierci Marszałka Piłsudskiego jest właśnie zjawiskiem niepożądanem".

Zdaje się, że odpowiedź na to pytanie wiąże się z poruszoną na wstępie sprawą. — Zbyt łatwo i zbyt szablonowo chcemy czcić wielkość Marszałka...

Organizacje pracownicze przeciw IKC

Unja Związków Zawodowych Pracowników Umysłowych i Rada Naczelna Związków Pracowników Samorządowych rozesłały do prasy oświadczenie, w którem omawiają ostatnie przejawy zorganizowanej kampanji, prowadzonej przez pewien odłam prasy z „Ilustrowanym Kurjerem Codziennym" na czele. Kampanja, skierowana była — jak to wiemy — przeciw ruchowi zawodowemu pracowników państwowych, samorządowych i prywatnych, w głównej mierze uderzała zaś w Związek Nauczycielstwa Polskiego. W atakach nie przebierano w argumentach, najczęściej zaś operowano ulubionym zarzutem antypaństwowości.

Dwie centrale organizacyj pracowniczych, biorąc w obronę Związek Nauczycielstwa Polskiego, stwierdzają, że „spełnia on doniosłą i pozytywną rolę w życiu państwowem i społecznem", równocześnie zaś podkreślają, że „Ilustrowany Kurjer Codzienny" znany jest z wrogiego stanowiska do wszystkich instytucyj pracowniczych".

Oświadczenie to pominął IKC milczeniem. A szkoda. Rozwiewa ono bezustannie przez IKC tworzoną legendę, że jest on jedynym obrońcą rzesz pracowniczych, które rzekomo mają do niego bezgraniczne zaufanie. Na dwóch stołkach długo siedzieć nie można. Przeważnie zdarza się, że usuwają się obydwa.

Jeśli jesteś przyjacielem pisma —
— staraj się zjednać mu prenumeratorów

PRZEGLĄD PRASY

Program na dziś p. Cata

Konserwatyści przechodzą samych siebie, gdy chodzi o walkę z min. Kwiatkowskim i min. Poniatowskim. Psują na to moc papieru i farby drukarskiej — widocznie bez większego rezultatu, bo ataki wciąż się powtarzają.

P. Mackiewicz, znany ogólnie herold konserwatywnego światopoglądu, nie ogranicza się jednak tylko do ataków. Oddawna rozdaje (zresztą również bezskutecznie) swoje drogocenne rady i przestrogi błądzącym bez światła prawdziwej, konserwatywnej wiedzy premjerom i ministrom. Ostatnio ogłosił on w „SŁOWIE" swój własny „program na dziś".

A więc przedewszystkiem.. dewaluacja.

„Zdaje się, że potężnym czynnikiem aktywizacji życia gospodarczego byłoby dewaluacja złotego. W ten sposób ulżyłoby się człowiekowi pracującemu i w dziedzinie długów i w dziedzinie podatków, warsztaty prywatne wzmogłyby swą działalność, konjunktura by się nakręciła, urzędnik znalazłby pracę produkcyjną i zwolna zacząłby opuszczać urzędy".

Następny problem — to wieś.

„Przeludnienie wsi, które wymienił także gen. Skłodkowski — oto jest problem".

P. Cat-Mackiewicz widzi trzy wyjścia z sytuacji, dwa z nich są obecnie nieaktualne, trzecie zaś — to „spławienie" Żydów z Polski i skierowanie do opuszczonych przez nich miasteczek nadwyżki ludności wiejskiej. To wydaje się p. Mackiewiczowi nadwyraz łatwem do zrealizowania. Wprawdzie współpracownik „Słowa", p. Studnicki, wysuwając ten sam program, twierdzi, że nawet masowa emigracja Żydów da w Polsce rezultaty dopiero za lat 30 — p. Mackiewicz wstawia je sobie już w „programie na dziś", uważając, że jeśli nie z dnia na dzień, to z tygodnia na tydzień rozwiąże w ten sposób, bez większych kosztów, sprawę przeludnienia wsi.

Z innemi narodowościami niema żadnego kłopotu:

„Wobec Białorusinów — asymilacja.
Wobec Niemców — łagodna asymilacja. Niemcy najlepiej asymilują się dobrowolnie.
Wobec Ukraińców należy pamiętać, że mamy konjunkturę do ugody. Róbmy więc tą ugodę, szczerą, liberalną, z gestem Ossolińskich, a nie pań Dulskich".

Problem robotniczy — to także w zakresie gospodarczym w gruncie rzeczy niewielki problem. Przecież wystarczy pamiętać, że

„wykwalifikowany robotnik zarabia dziś w Polsce więcej, niż biuralista-inteligent".

Trudne zagadnienie wychowawcze zostanie łatwo rozwiązane, gdy się zlikwiduje organizacje młodzieżowe i Związek Nauczycielstwa Polskiego, który jest „państwem w państwie". A wówczas wystarczy wiedzieć, że:

„Nasz naród winien być wychowany po katolicku. Jesteśmy narodem wystawionym na niebezpieczeństwa, któremu grozi agresja i wojna. Żołnierz nie potrafi umrzeć, jeśli nie wierzy w życie pozagrobowe".

I wreszcie polityka zagraniczna.

„Narazie, koncepcja nasza: francusko - niemiecko - polskiej kooperacji, musi pozostać w zawieszeniu, bo obecny żydowsko-francuski rząd ma wyraźnie inne zamiary"...

Pozostaje wobec tego współpraca z Niemcami.

„Oczywiście należy iść jaknajdalej w tym kierunku, ale nie tak daleko, oby stać się u boku Niemiec Bułgarją, czy Austro-Węgrami z czasów niedawnych. Polska musi stworzyć sobie silne oparcie u innych państw, aby wspólnie reprezentować wobec Niemiec równego partnera".

To już wszystko. Cały „program na dziś" p. Mackiewicza. Gdyby tak zrobić p. Cata premjerem, jakże łatwo znalazłby on drogę, której poprzednie i obecne rządy nie mogły odnaleźć. Aż szkoda, że taki praktyczny talent marnuje się tylko na pisanie!

Młodzi i stara endecja

Młodzież endecka coraz wyraźniej przeciwstawia się strupieszałej polityce swoich wychowawców. Coraz silniej zaznacza się przepaść, dzieląca starych od młodych. Stara endecja idzie wprawdzie na pewne ustępstwa, przyjmuje niejednokrotnie narzucone jej przez młodzież tendencje, ale w podstawowych założeniach ideologicznych nie umie wyzbyć się starych, dawno przebrzmiałych uprzedzeń. Kurczowo trzyma się haseł, które dawno przegrały, nie dopuszczając zamachów rewizjonistycznych na zatęchłe zakamarki swoich założeń programowych.

O tem upartem trwaniu w starym porządku pisze organ Związku Młodych Narodowców „DZIENNIK POLSKI" w artykule Zdzisława Stahla. Za przykład starczego trzymania się przebrzmiałych haseł stawia autor artykułu wydanie książki J. Giertycha p. t. „Tragizm losów Polski". P. Stahl twierdzi, że książka ta

„nie wypłynęła z właściwych pierwiastków duszy młodego pokolenia. Odezwały się w niej echa martwej dzisiaj doktryny pozytywistycznej oraz teoryj, tworzonych w czasie i przed wojną dla taktycznych celów przejściowej konjunktury politycznej. Została zrobiona próba przekazania w spadku tego, co powinno być zapomniane".

Stronnictwo Narodowe nie umie otrząsnąć się z przeszłości. Stare spory przenosi w rzeczywistość dzisiejszą i nie dostrzega zmienionych warunków. W ten sposób odcina się zdecydowanie od całego zdrowego, narodowego w prawdziwym sensie tego słowa, społeczeństwa polskiego.

„Żaden Polak, którego instynktu i myśli nie zwichnęła jakaś wyrafinowana inicjacja partyjna, nie da sobie wyperswadować, że rycerska tradycja Narodu, żołnierska ofiara krwi, wojenna czy powstańcza, uwieńczona doraźnem powodzeniem, czy też zakończona klęską, da się sprowadzić do obcej intrygi i potępić moralnie. Żaden Polak, zwłaszcza młodego pokolenia, nie pozwoli ze swego patrjotyzmu wyeliminować żołnierskiej struny a ze swego narodowego poglądu wewnętrznej aprobaty dla powstańczych wysiłków zbrojnych, zmierzających do odbudowania Polski".

Istotne przemiany, jakie dokonały się w życiu polskiem lat ostatnich, wymagają radykalnej zmiany stanowiska. Tendencje, zdążające do utrzymania niechlubnego dziedzictwa przeszłości, są

„rozkładaniem i zatruwaniem polskiego ruchu narodowego.
Młody ruch narodowy nie może przejąć tego dziedzictwa a nawet musi wypowiedzieć mu nieubłaganą walkę".

Antysemityzm — czy chęć utrzymania się przy życiu

Specjalny wysłannik „KURJERA PORANNEGO" bada w Radomiu tło sprawy przytyckiej. Z bezpośredniej obserwacji wynosi on następujące wnioski:

„Rozmaite „Hajnty", „Momenty", czy „Chwile" nie zdają sobie sprawy, iż pisząc o wystąpieniach antysemickich — jako o sukcesach młodzieży endeckiej — popełniają najkardynalniejszy błąd taktyczny".

Bojkotowego ruchu chłopskiego na odcinku drobnego handlu żydowskiego i tarć wynikłych na tle prób złamania dotychczasowego monopolu żydowskiego w handlu małych miasteczek, nie można — zdaniem „Kurjera Porannego" — tłumaczyć agitacją endecką

„czyż pęd chłopów do małych miasteczek, do obejmowania drobnych placówek handlowych i przemysłowych — można nazwać antysemityzmem? Ten pęd jest falą, której nikt i nic nie zdoła zatrzymać".

„...Wśród mas chłopskich niema antysemityzmu, a jest tylko brak środków do życia. Chłopi idą do miast, bo nie mogą wytrzymać w beznadziejnej atmosferze nędzy na wsi".

Pragnąc utrzymać się na powierzchni życia, nie mając innych możliwości, biorą w ręce to, co dać im może środki utrzymania. Chwytają się obcego im dotąd zajęcia, podejmują walkę z konkurentem — ale to nie jest wynikiem skonstruowanej misternie „ideologji", a wyrazem instynktu samozachowawczego.

„I ci chłopi nie ustąpią przed żadną zaporą, jakąkolwiekby ustawiono przed nimi. Silna fala wody przeskoczy przecież nawet żelbetonową zaporę".

Sprawa ukraińska

W związku z drugą rocznicą tragicznej śmierci min. Pierackiego omawia Klaudjusz Hrabyk w lwowskim „DZIENNIKU POLSKIM" obecny stan stosunków polsko-ukraińskich. Stwierdza, że

„na tym odcinku panuje od dłuższego czasu spokój nigdy dawniej nie notowany. I właśnie ta różnica pomiędzy dawną i nową atmosferą w stosunkach polsko-ukraińskich jest największą i zasadniczą w nich nowością".

Zdaniem autora

„dawniej działo się za dużo, a mimo to sprawa ukraińska stała w miejscu. Obecnie — ponieważ nic się nie dzieje — może nie ruszyła ona jeszcze pozytywnie naprzód, ale stwarza się powoli platforma do jakiegoś konkretnego w niej postępu".

Autor obserwuje oficjalnych kierowników polityki ukraińskiej i na tej obserwacji buduje swoje twierdzenia o obecnej sytuacji.

„Po wielu latach zaciekłej akcji separatystycznej, w której nie szczędzono krwi polskiej na tej ziemi—kierownicy polityki ukraińskiej doszli do przekonania, że ta metoda jest niewłaściwa. Nastąpił znany u nich zwrot, wyrażający się w idei zgodnego współdziałania i współżycia z Państwem Polskiem".

Problem polsko-ukraiński jest jednak bardziej skomplikowany. Jakkolwiek widzimy wszyscy pozytywne zmiany w ustosunkowaniu się kierowników ukraińskiej polityki wobec Państwa Polskiego, to jednak nie można zapominać, że pozatem działają podziemne siły, już tylokrotnie zwracające się przeciw oficjalnemu kierunkowi polityki ukraińskiej. Na tym odcinku daleko jeszcze do równowagi. „Dziennik Polski" wyraża jednak pogląd, że także tutaj

„duża cierpliwość i metoda wyczekania są nadal najwłaściwszemi cnotami".

Zaznaczający się od dwóch lat zwrot w stosunkach polsko-ukraińskich jest — zdaniem „Dziennika Polskiego" — wynikiem wstrząsu, spowodowanego śmiercią ministra Rzeczypospolitej,

„Godzi się z tej okazji stwierdzić, że jeśli krew przedstawiciela Rządu Polskiego przyczyniła się choć w części do zreflektowania szaleństwa, które działało przez tyle lat i zapoczątkowało nowy, pomyślniejszy okres, to — aczkolwiek Polska poniosła jeszcze jedną, bardzo ciężką ofiarę— śmierć ministra Rzeczypospolitej nie pozostawiła nam tylko żałoby. Była jedną z tych ofiar, które rodzą nowe życie".

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 609-70. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rach. 771 ,lub 2) — blankietem nadawczym P.K.O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10 — 11, środy godz. 17 — 18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10 — 14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Sekretarz Redakcji i Redaktor odpowiedzialny: Adam Andrzejewski

Z. A. Z. G. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12, tel. 643-33 w dzierżawie Sp. Wyd. Czasopism, Sp. z o. o.
Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem